3 1761 08822340 9

H. Sienkiewicz

# PISMA

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismahenrykasien61sien

# PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXI

Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki.

LP
S 5724

# Pisma

# Henryka Sienkiewicza

TOM LXI

## POTOP

CZĘŚĆ I

486119
14.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Октября 1903 г.

# POTOP

## CZĘŚĆ PIERWSZA

# WSTĘP.

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całem Rosieńskiem nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddawali usługi, za które różnymi czasami hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majętności i w okolicy Rosień i dalej ku Krakinowu, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży— aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosieniach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza, patryarchą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie mieszkał w gnieździe rodzinnem, które dzierżył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy, naokół, jakoby morzem, ziemianami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem, kilka było tylko większych domów w okolicy, jak Sołłohuby, Montwiłłowie, Schyllin-

gowie, Koryznowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanemi „okolicami“, albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami, zamieszkałymi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków, albo zaścianki od rodów, jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których owego czasu Batory osadził za męstwo, okazane pod Pskowem. W Wołmontowiczach, na dobrej glebie roili się Butrymowie, największe chłopy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasu sejmików, najazdu lub wojen, murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszczą Zielonką aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli w Pacunelach; panny ich słynęły pięknością, tak, iż wkońcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upity pacunelkami nazywano. Sołłohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewicze w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo Dymnymi.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały i ludzie innemi w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliskach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła wziętości, gdy przed niewielu laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi, jako towarzysze, na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych. Wogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczegól-

nie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą materyę sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta, na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on chce tego, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej, ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem, niż klientem potężnych oligarchów w Birżach — i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiące głosów i tysiące szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów, lub Gasztowtów nie lekceważył jeszcze w tym czasie nikt w świecie. Później dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w r. 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owoż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szkłowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuską prawie w pień wycięta — stary pułkownik, rażony apopleksyą, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wsławiony żołnierz, który w zastępstwie pana Herakliusza, laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękane, pognębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekające, że ufny w grozę swego imienia, w urok zwycięscy, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgę się rzucił, a przez to pogrążył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu. Owszem ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego do-

świadczeniu wojskowem i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodyjowskiego dokonali: jako w ataku przebili się niby przez dym, przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy, cały regiment najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, przyczem pan Wołodyjowski własną ręką ściął tegoż regimentu oberszta; jako nakoniec otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą owych opowiadań ci z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitem ruszeniu stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już z góry umowa, że w takim razie pan Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowem obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowi mówili jeszcze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. To też cała Lauda na ręku go prawie nosiła, a okolica wydzierała go okolicy. Kłócili się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać na dłużej gościną. On zaś tak sobie ową bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako tako po klęsce przyjść do sprawy — on z innymi nie odszedł, ale jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencyę założył, u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda, nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie: naprzód przyszły nań złe gorączki, potem od kontuzyi, którą był pod Cybichowem otrzymał, odjęło mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić, szlachta zaś kto żyw był,

zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopókiby zamąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej...

...„Którzy, jako mnie życzliwymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą ludzką nikt bezpieczen, ani próżen bojaźni być nie może — niechaj sieroty przez pamięć moją od przygody strzegą.

„Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczności zażywała, z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu dawam, darowuję i zapisuję, aby w tem przeszkody jakiej nie miał. Ktoby zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Andrzeja Kmicica dziwował, albo w tem krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielekroć ratował, a gdy złość i invidia panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały — i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica, ojca miecznika orszańskiego się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubować. Tamże, za wspólną zgodą, postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stadło uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę Bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuję, chybaby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnymi uczynkami sławę swą splamił

i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancyą swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie, wedle Orszy, łacnie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

„Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga, wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała Boża przed ludzką iść powinna“...

W takito sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra z dawna wiedziała, co ją czeka i szlachta z dawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała — zresztą umysły w czasach klęski czem innem były zajęte, tak, że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szkłowem z własną chorągwią i orszańskimi wolentarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnieby nie uszła niepostrzeżenie. Familianci to bowiem byli w Orszańskiem Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomódz go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugimi, jak upadł Smoleńsk. Województwo Smoleńskie, w którem leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnem zamieszaniu, w powszechnej trwodze rozproszyli się ludzie, jak liście wichrem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa Żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła zwolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej.

„Okolice“ poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na kongresa pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, puszczą Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicze Dymni w dymach mięso na przyszłą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kassyana Butryma, dwóch patryarchów okolicznych — wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. To też, gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencyi nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majętności młodej dziedziczki; nie przesypywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajechano pastwisk. Owszem wspomagano zasobną samą przez się dziedziczkę, czem która „okolica“ mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni nadsyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyna od Domaszewiczów myśliwych, smoła i dziegieć od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej w zaściankach nie mówił, jak „nasza panna“, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie, jak ona.

Tymczasem przyszły wieści zwołujące szlachtę — więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholęcia wyrósł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył do Grodna i tam miejsce generalnego zboru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w mil-

czeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie na ostatku, jak zawsze czynili, bo im od pacunelek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiła się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jako wojski między pacunelkami pozostał. Opustoszały „okolice“ i jeno starcy z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach. Cicho było w Poniewieżu i Upicie — czekano wszędy na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodoktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudańskich nie widując.

## ROZDZIAŁ I.

Przyszedł nowy rok 1652. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kożuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptactwo stukało dziobem do szyb, szedzią i snieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskiemi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tem łacniej, że między jej dziewkami dworskiemi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnemi były, a w zamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewek traktowania. Były jednak między niemi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich po polsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swoją panną Kulwiecówną siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie, ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy pło-

mień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj nizkim, belkowanym sufitem. U belek wisiały na niciach różnokolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w cieple, a zza belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był nimi założony. Po ścianach ciemnych błyszczały, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, mrucząc pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionemi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie, jakby na wyścigi, surowemi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystremi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarna huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

— Padłas!

Panna Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej twarz i poważne błękitne oczy, patrzące z pod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona, jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwu-

dziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach, więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

— Gdzie on jest i jaki on jest teraz? — oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką podróż do Orszy. Otóż wedle tych opowiadań, miał to być „wielkiej fantazyi kawaler, choć gorączka okrutny“. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Billewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tymczasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny, pociągnął na pole beresteckie. Tam postrzelony, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i blizkiego śmierci pilnował; potem znowu była wojna — i tak zeszły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czem rozmyślać panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystem, właśnie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tem ognisku rozpalił się płomień spokojny, ale jasny, równy i jak znicz litewski niegasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej dopiero miała nadejść z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubi i gotowością na jej gotowość odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem, dotrzymywały najczęściej układu. W samem więc zeswataniu jej nie widziała panienka nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążała płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?“ I potem już stado

myśli opadło ją, jak stado ptactwa opada drzewa, samotnie na rozległych polach stojące. Ktoś ty jest? jakiś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzie tam poległeś?... Dalekoś ty, czy blizko?... Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimowoli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym, nocą przykrytym: „Bywaj junaku! bo niemasz nic gorszego w świecie nad oczekiwanie!“

Wtem, jakby w odpowiedzi na wołanie, z zewnątrz właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała sobie, że to z Pacunelów przysyłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika; myśl tę potwierdziła panna Kulwiecówna, mówiąc:

— To od Gasztowtów po dryjakiew.

Nieregularny głos dzwonka, targanego przy dyszlu, brzmiał coraz wyraźniej; nakoniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

— Obacz, kto przyjechał — rzekła panna Kulwiecówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drąg od żaren, rzekł z flegmą:

— Panas Kmitas.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknęła panna Kulwiecówna.

Prządki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem, we drzwiach, pojawiła się wyniosła jakaś postać, w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

— Hej! a gdzieto wasza panna?

— Jestem — odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły, zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się, rzekł:

— Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smaglą cerę, siwe oczy, bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

— Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

— Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? — spytała panna.

— Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnemi opłakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, nieledwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszała nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła:

— To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

— Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który naprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! — ot — tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierz chwycił niespodziewającą

się takiego postępku Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długiemi rzęsami, stała tak światłem i własną pięknością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

— Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

— Jeszcze nie prędko, jeszczem nie waćpana — odrzekła Oleńka.

— Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale tu, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować, nie one specyały, któremi oczy pasę. Miłoż to taki legat dostać, niech mię kule biją!

— Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiedział, żeś waćpan gorączka.

— Tacy u nas wszyscy w Smoleńskiem, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

— Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

— Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

— Po sercu, to jeszcze nie wiem.

— Niechbyś nie była, tobym się nożem pchnął!

— Śmiejący się to waćpan mówisz, ale i my to jeszcze w czeladnej! Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi, proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:

— Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrzał bystro:

— Ciotuchna? — spytał — jaka ciotuchna?

— Moja, panna Kulwiecówna.

— A to i moja! — odparł, zabierając się do rąk całowania. — Dla Boga! toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

— To z tych samych! — odrzekła dygając stara panna.

— Dobry chłop, ale wicher, jak i ja! — dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościnnych.

Zaraz po ich odejściu, prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

— Łuna od niego bije — mówiła jedna — kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

— A oczy ma jak ryś, aż niemi kłuje — odrzekła druga — takiemu się nie przeciw!

— Najgorzej się przeciwiać! — odpowiedziała trzecia.

— Panną, jak wrzecionem okręcił! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komużby się ona nie udała?

— Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na końcu świata.

— Szczęśliwa panna!

— Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! złotoż to, nie rycerz.

— Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, któren jest u pacunelek, u Starego Pakosza, piękny kawaler.

— Nie widziałem ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie niema!

— Padłas! — zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.

— A nie pójdziesz ty kudłaty ze swoimi wymysłami! Dajże już pokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego, jak pan Kmicic, na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach takiego niema!

— Taki to się i przyśni!

— Niechby się ino i przyśnił...

W taki to sposób rozprawiały ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co duchu w izbie stołowej, a w gościnnej mówiła panna Aleksandra sam na sam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, nakoniec rzekł:

— Są ludzie, którym majętność nad wszystko milsza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale jabym waćpanny za żadne skarby nie oddał! Dalibóg, im więcej patrzę, tem większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew, to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

— Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka.

— A oczy jakoby z nieba! Od konfuzyi słów mnie brakuje.

— Nie bardzoś waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

— To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast, czy w ogień, śmiało iść. Musisz, królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

— Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

— Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierz, waćpanna, nie wierz, a radbym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem, niźli na pokojach dworskich.

— Ejże, nic to nie szkodzi, bo i mój dziaduś żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! — odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu od razu serce, jak wosk stopniało i odrzekł:

— Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

— Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.

Kmicic ukazał białe, jakoby wilcze zęby, w uśmiechu.

— Jakto! — rzekł — małoż to ojcowie nałamali na mnie rózeg w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękne maksymy spamiętał, przewodniczki żywota...

— A którążeś najlepiej spamiętał?

— „Kiedy kochasz, padaj do nóg“ ot tak!

To rzekłszy, pan Kmicic już był na kolanach, panienka zaś wołała, chowając nogi pod stołek:

— Dla Boga! tego w konwencie nie uczyli! Daj waćpan pokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie...

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

— A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

— Wstańże waćpan.

— Już wstaję.

— Siadaj waćpan.

— Już siedzę.

— Zdrajca z waćpana, Judasz!

— A, nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!... Chcesz się przekonać?

— Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały, jak młodemu źrebcowi szlachetnej krwi.

— Aj! aj! — mówił — co to za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!

— Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

— Ba! znałem jeno kontrefekt. Każę tego malarza w smołę, a potem w pierze wsadzić i po rynku w Upicie biczem pędzać. Już powiem wszystko szczerze: chcesz waćpanna, to przebacz — nie, to szyję utnij! Myślałem sobie tedy, na ów kontrefekt poglądając: gładka gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie — mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: mam czas! żeniaczka nie przepadnie! panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie sprzeciwiałem się ze wszystkiem woli ojcowskiej, Bóg mi świadek, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoż na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, żem był głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delicye czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól, waćpanna, rączki ucałować.

— Lepiej nie pozwolę.

— Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskiem mówią: proś, a nie dają, to sam weź!

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencya, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wziąwszy się pod ręce, jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych i omszały gąsiorek wina, moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, raźno i wesoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i jeść począł z taką samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka poglądała nań z boku, rada, że je i pije, potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

— To waćpan nie z pod Orszy jedziesz?

— Bo ja wiem skąd!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził, jako wilk pod owce i co tam było można urwać, tom urwał.

— A żeś się to waćpan ważył takiej potędze oponować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

— Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka we mnie natura.

— Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

— E! Nakrywali mnie tam czapką i ręką, jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzieindziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny półgęsek!

— W imię Ojca i Syna! — zawołała z nieudanem przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

— Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

— Miałem oczywiście swoich dragoników, bardzo prze-

dnich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdziem mógł, nie przebredzając. Dobrzy pachołkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej czy później pójdą wronom na frykasy...

To rzekłszy pan Andrzej, znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

— Takich drapichrustów jeszcześ waćpanna nie widziała. Niech im kat świeci! Oficerowie, wszystko szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z nimi robić?

— To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...

— Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli, jako miotły od ciągłego zamiatania, więc mi książę wojewoda hiberny w Poniewieżu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony wypoczynek!

— Jedz waćpan, proszę.

— Jabym dla waćpanny i truciznę zjadł... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewieżu, część w Upicie, a godniejszych kompanionów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjdą waćpannie czołem bić.

— A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

— Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieża, na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.

— Pijno waćpan...

— Jabym dla waćpanny i truciznę wypił...

— Ale o śmierci dziadusia i o testamencie, to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

— A, o śmierci to oni. Panie świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

— Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałam i modlitwie, więcej o niczem...

— Oni też to samo mówili... Ho! harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie żachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta

munsztuluki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja słysząc, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.

— Jezus Marya! i waćpan to uczynił?

Kmicic spojrzał zdziwiony.

— Nie przestraszaj się waćpanna... Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Alem sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

— Wielkie to szczęście! — rzekła oddychając głęboko Oleńka — bo inaczej na oczybym waćpana widzieć nie mogła.

— A to jakim sposobem?

— Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w niej kochał i na wojnę z nimi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz. Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

— To ja o niczem nie wiedziałem! niech mnie usieką, jeślim wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas, kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familianci, którzy po dwóch na jednę kobyłę nie siadają... Dalibóg, że takim szerepetkom nic do Kmiciców, ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba.

— Dziaduś powiadał, że substancya nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczejby ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał i otworzył szeroko oczy.

— Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...

— Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?

— Byłbym ich... ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? zali i nademną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... E! nie żartujno, waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

— Panie Andrzeju, ja nie żartuję... świętą i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem, ale jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nie tylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej drżał, jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczył brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatywały mu jakby błyskawice po twarzy, ale wyrzekł z wyniosłością i dumą:

— Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny, prócz mnie, opiekunem nie będzie. Nie tylko one szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają.

Panna Aleksandra spoważniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

— Źle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycye dziadzia nieboszczyka albo trzeba wszystkie przyznać, albo wszystkie odrzucić — rady innej nie widzę. Laudańscy nie będą się przykrzyć, ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ciężcy ci byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mniemam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

— Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Niema się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędki, to będzie najlepiej.

— Nie wypada teraz o tem mówić w czasie żałoby...

— Aj! a długo będę musiał czekać?

— Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej, jak pół roku.

— Wyschnę do tego czasu, jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużeś waćpanna tak zaczęła na mnie surowo spoglądać, jak na winowajcę. Bodajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, tobym go rozdarł, a gdy przejdzie, tobym zszył.

— Strach z takim żyć — odrzekła już weselej Oleńka.

— No! zdrowie waćpanny! Dobre to wino, a u mnie szabla i wino, to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć? Waćpanna to mnie usidlisz swojemi oczkami i w niewolnika obrócisz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką na własną rękę chodzić, niż panom hetmanom się kłaniać... Mój złoty królu! jeślić ci się co we mnie nie spodoba, to i przebacz, bom się manier pod harmatami uczył, nie we fraucymerach — w zgiełku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. To też, choć tam i kondemnatka jaka na kim cięży, choć go i wyrokami ścigają — nic to! Ludzie go szanują, byle fantazyę miał kawalerską. Exemplum: moi kompanowie, którzy gdzieindziej dawnoby w wieżach siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w butach i przy szabli chodzą i partyom hetmanią, jako pani Kokosińska, stryjna mego porucznika czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna — to stawać, sejmik — gardłować, a mało języka — to dalejże szablą! Ot, co jest! takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał!

— Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie — odparła, spuszczając oczy, panienka.

— A dajże jeszcze ręczyny ucałować, moja słodka dziew-

czyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła! Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, któregom jeszcze nie widział.

— Dam waćpanu przewodnika...

— Ej, obejdzie się. Już ja przywykłem tłuc się po nocach. Mam pachołka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka.. wielcy to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym ogłoszono, za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewkę porwał, a ludzi wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze ręczyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić z wolna na wielkim gdańskim zegarze, w jadalnej izbie stojącym.

— Dla Boga! czas! czas! — zawołał Kmicic. — Nic tu już nie wskóram! Miłujeszże mnie choć na obwinięcie palca?

— Kiedyindziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

— Codzień! chybaby się ziemia podemną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy, Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

— Dobranoc, królowo miła — mówił — śpij smacznо, bo ja, to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

— Byleś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

— A cóżto ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik do sanek. Dobranoc, najmilsza, dobranoc!

— Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył

ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzeć raz jeszcze. Tym posłał pan Andrzej żołnierskim obyczajem całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabrzęczał dzwonek i jął brzęczeć z razu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dziwne nastało milczenie. Panienka nadstawiła uszu, czy nie dosłyszy jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę — i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Z wolna wziąwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i klękła do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli, jakby na skrzydłach, pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi, jak na jawie, płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszczały białe, jak u młodego psiaka, zęby. Trudno bowiem chciała przed sobą zapierać się poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazyą, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach, głowę jakby turreki dzianet podniósł i mówił: „Sami nawet Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają“... To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! — mówiła sobie panna. Żołnierz jest, jakich dziaduś najwięcej miłował... Bo i warto.

Tak rozmyślała panienka — i to ją ogarniała błogość

niczem nie zmącona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w ręku.

— Straszniescie długo siedzieli! — rzekła. — Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosemi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję, a złożywszy swą jasną głowę na jej piersiach, rzekła pieszczotliwym głosem:

— Ciotuchna, aj, ciotuchna!

— Oho! — mruknęła stara panna, podnosząc w górę oczy i świecę.

## ROZDZIAŁ II.

We dworze w Lubiczu, gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sień, by pana witać, bo wiedziano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włodarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszły pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszów pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwonków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: „haeres! haeres przyjechał!“ i wszyscy kompanionowie, zerwawszy się z miejsca, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpić, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że prze-

wracają zydle po drodze i słaniają się i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszliwą blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, porucznik i przyjaciel pana Kmicica, „godny kompanion“, skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie. Jego to teraz osłaniała wojna i protekcya pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem i fortuny ich w Orszańskiem, póki swojej pan Jaromir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz, trzymając w obu rękach rostruchanik, uszniak, dębniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mścisławskiego, z którego był banitem za zabójstwo dwóch szlachty posesyonatów. Jednego w pojedynku usiekł, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć macosze ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadyaka to był w ręcznem spotkaniu niezrównany. Trzecim z kolei był Rekuć Leliwa, na którym krew nie ciężyła, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on za to w kości przegrał i przepił — od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Z nim szedł czwarty, pan Uhlik, także Smoleńszczanin, za rozpędzenie trybunału bezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic go ochraniał, gdyż na czekaniku pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający — i Zend kalwakator, który zwierza i wszelkie ptactwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowi ujeżdżał, za co lafę pobierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja; Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły,
gospodarzu miły!
Byś pić mógł z nami, aże do mogiły,
aże do mogiły!...

Inni powtórzyli chórem, poczem pan Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał zaraz inny puharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę rostruchan i zakrzyknął:

— Zdrowie mojej dziewczyny!

— Vivat! Vivat! — krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drżeć w ołowianych oprawach.

— Vivat! Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

Pytania poczęły się sypać:

— A jakoż wygląda? Hej! Jędruś! Bardzo gładka? Czy taka, jak sobie imaginowałeś? Jestli druga taka w Orszańskiem?

— W Orszańskiem? — zawołał Kmicic — kominy przy niej naszemi orszańskiemi pannami zatykać!... Do stu piorunów! niemasz takiej drugiej na świecie!

— Tegośmy dla cię chcieli! — odpowiedział pan Ranicki. — A no, kiedy wesele?

— Jak się żałoba skończy.

— Furda żałoba! dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!

— Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro Jędrusiu!

— Ostro Jędrusiu! — poczęli wołać wszyscy razem.

— Już tam chorążętom orszańskim tęskno z nieba na ziemię! — krzyknął Kokosiński.

— Nie daj czekać niebożętom!

— Mości panowie! — rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa — popijem się na weselu, jak nieboskie stworzenia!

— Moi mili barankowie — odpowiedział Kmicic — pofolgujcie mi, albo lepiej mówiąc: idźcie do stu dyabłów, niechże się po moim domu obejrzę!

— Na nic to! — odparł Uhlik. — Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu: jeszcze tam parę gąsiorków z pełnymi brzuchami stoi.

— My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! — rzekł Ranicki.

— Stajnia dobra! — wykrzyknął Zend — jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzinów i para

kałmuków i wszystkiego po parze, jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzym.

Tu Zend zarżał jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje i śmieli się.

— Takież tu porządki? — spytał uradowany Kmicic.

— I piwniczka jako się patrzy — zapiszczał Rekuć — ankary smoliste i gąsiory spleśniałe, jakoby chorągwie w ordynku stoją.

— To chwała Bogu! siadajmy do stołu!

— Do stołu! do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

— Zdrowie podkomorzego Billewicza!

— Głupi! — odparł Kmicic. — Jakżeto? nieboszczyka zdrowie pijesz?

— Głupi! — powtórzyli inni. — Zdrowie gospodarskie!

— Wasze zdrowie!...

— By nam się w tych komnatach dobrze działo!

Kmicic rzucił mimowoli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu surowych, w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów Billewiczowskich, wiszących nizko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była nizka. Nad obrazami, długim, jednostajnym szeregiem, wisiały czaszki żubrze, jelenie, łosie, w koronach z rogów, niektóre już zczerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany były niemi ubrane.

— Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek! — rzekł Kmicic.

— Jutro zaraz pojedziem, albo pojutrze. Trzeba i okolicę poznać — odparł Kokosiński. — Szczęśliwyś ty Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!

— Nie tak jak my! — jęknął Ranicki.

— Wypijemy na pocieszenie! — rzekł Rekuć.

— Nie! nie na pocieszenie! — odpowiedział Kulwiec-Hippocentaurus — ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! On to, moi mości panowie,

przytulił nas tu w Lubiczu, nas biednych exulów, bez dachu nad głową.

— Słusznie mówi! — zawołało kilka głosów. — Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.

— Ciężka nasza dola! — piszczał Rekuć. — W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

— Dajże pokój! — mówił Kmicic — co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

— W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! — wołał Kokosiński — choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

— Dajcie spokój! — powtarzał Kmicic.

— Nie wyganiaj, i tak nas wygnali, nas szlachtę i familiantów! — wołał żałośnie Uhlik.

— Do stu kaduków! któż was wygania: jedzcie, pijcie, czego u dyabła chcecie?

— Nie przecz Jędrusiu — mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki, jak na skórze rysia — nie przecz Jędrusiu, przepadliśmy z kretesem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzawszy baraniemi oczyma na obecnych:

— Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy zawrzaśli zaraz chórem:

— Co się nie ma odmienić!

— Jeszcze za swoje zapłacimy.

— I do fortun dojdziem.

— I do godności!

— Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

— Zdrowie wasze! — zawołał Kmicic.

— Święte twoje słowa, Jędrusiu! — odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe pucułowate policzki. — Bodaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy

jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać: „Len mędliła na mędlicy!“ — co widząc pan Uhlik, dobył z zanadrza czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechtmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

— Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy! — szach!

Olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, nakoniec kiwnął ręką i rzekł:

— Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a taki Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

— Bo jemu nikt nie dotrzyma, ale ty się spróbuj!

— I ze mną na pistolety nie wygrasz.

— O dukat strzał.

— O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, nakoniec wykrzyknął, wskazując na czaszki:

— Między rogi! o dukat!

— O co? — spytał Kmicic.

— Między rogi! o dwa dukaty! o trzy! dawajcie pistolety!

— Zgoda! — krzyknął pan Andrzej. — Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniej i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.

— Nabity? — spytał.

— Nabity!

— O trzy! cztery! pięć dukatów! — wrzeszczał pijany Kmicic.

— Cicho! Chybisz, chybisz!

— Trafię, patrzcie!... at! do tej czaszki, między rogi... raz, dwa...

Wszyscy zwrócili oczy na potężną czaszkę łosia, wiszącą

wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.

— Trzy! — wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

— Chybił, chybił! ot, gdzie dziura! — wołał Kmicic, wskazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

— Do dwóch razy sztuka!

— Nie, dawaj mnie! — wołał Kulwiec.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

— Precz! precz! — krzyknął Kmicic. — Raz! dwa! trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

— A dajcie i nam pistolety! — zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pachołków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram portretów; w zamieszaniu postrzelano i Billewiczów, a Ranicki, wpadłszy w furyę, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylękła czeladź, stała jakby w obłąkaniu, poglądając wytrzeszczonemi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobną. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegły pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcząc nosy, spoglądały co się dzieje w środku.

Dojrzał je nakoniec pan Zend; świsnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwoniło i krzyknął:

— Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki!

— Sikorki! sikorki!

— Dalejże w pląsy! — wrzeszczały niesforne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił głów dymiących. Dziewczęta krzycząc w niebogłosy, rozbiegły się po całem podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się pląsy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wkoło stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Tak to bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompania.

## ROZDZIAŁ III.

Przez następne dni kilka, codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i codzień wracał więcej rozkochany i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanionami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

— Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majętność obaczyć. Ona nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, którenby jej w czemkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sań wiozło ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęły je trzy kałmuki zdobyczne, w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskiem, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przyjęli. Powoził parobek, siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną, aksamitną bekieszę, spinaną na złote pętlice, a podbitą sobolami i w soboli kołpaczek z czaplem piórem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok Kokosińskiego:

— Słuchaj Kokoszko! Podswawoliśmy pono przez te dwa wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze dyabeł Zenda podnieci, a potem na kim się

skrupi? — na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputacyę.

— Powieśże się na twojej reputacyi, bo na nic innego nie zdatna, tak jak i nasze.

— A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj Kokoszko, że to i w Orszańskiem mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języki na mnie ostrzyli, jak noże na osełce.

— A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekł, który się pytał, czy w Orszańskiem już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich ojca i syna poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpędził?

— Sejmik rozpędziłem w Orszańskiem, nie gdzieindziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co do reszty, to nie wymawiaj, gdyż pojedynek najniewinniejszemu się zdarzy.

— Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycyach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

— Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, żem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tem. Stulże pysk, Kokoszko i nie powiadaj o niczem Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owem strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wydało, na was winę złożę. Czeladzi już wspomniałem i dziewkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

— Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskiem. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie“. Dałeś się już we wszystkiem usidlić.

— Głupiś Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona zaraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz

przed nią fantazyę kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie, jakby w pysk dał i aż dziwno, żeś wprzódy sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

— Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki, jako krew z mlekiem i podobno zgoła nieoporne.

— Kto ci to powiadał? — spytał żywo Kmicic.

— Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend. Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując, pojechał do Wołmontowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikorek, bo z nieszporów wracały. „Myślałem (powiada), że z konia zlecę, tak chędogie i gładkie“. A co na którą spojrzał, to mu zaraz zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopy między szlachtą, to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trącił kułakiem w bok towarzysza:

— Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy — co?

— A twoja reputacya?

— O do dyabła! Stulże gębę. Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obeszłoby się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczyk podkomorzy wyznaczył.

— Mówiłeś o tem, alem nie chciał wierzyć. Skąd mu taka konfidencya z szarakami?

— Bo na wojnę z nimi chadzał i to słyszałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale, żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nademną uczynił.

— Musisz się im akomodować i do wiechciów w butach kłaniać.

— Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi

gniewno! Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

— Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiadał Zend, że tu jest jakiś pułkownik między nimi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski, czy kto? On pod Szkłowem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczesano!

— Słyszałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

— Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo wszędy okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjaciel pali, to się i budować mogą.

— Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć — rzekł, jakby do siebie samego, Kmicic.

Poczem zwrócił się do towarzysza:

— Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czemkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.

— No! ależ cię osiodłali!

— Osiodłali, nie osiodłali — tobie zasię!

— Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasię! — rzekł flegmatycznie Kokosiński.

— Pal z bata! — krzyknął na woźnicę Kmicic.

Pachołek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania raźno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek, weszli naprzód do sieni ogromnej, jak spichlerz, niebielonej, a stąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej, jak w Lubiczu, w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z których wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho, jak w kościele.

— Tyś chłop mowny — szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego — ty ją powitasz od nas wszystkich.

— Układałem sobie przez drogę — odrzekł pan Kokosiński — ale nie wiem, czyli będzie dość gładko, bo mi Jędruś do konceptu przeszkadzał.

— Byle z fantazyą! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga, jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała mu się jeszcze piękniejszą. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad niemi odbijała od białego czoła, jak heban, a płowy włos lśnił się, jakby korona na głowie królowej i patrzyła śmiało, oczu nie spuszczając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki, obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci wojakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, to też stali szeregiem, jakby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

— Otom ci przywiózł, mój klejnocie, kommilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

— Honor to dla mnie niemały — odrzekła Billewiczówna — przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy, uchwyciła się koniuszkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego.

— Hajda! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

— Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...

— Łowczanko — poprawił Kmicic.

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziko! — powtórzył zmieszany pan Jaromir — wybacz waćpanna, jeślim się w godności pomylił...

— Niewinna to omyłka — odrzekła panna Aleksandra — i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wysławiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i kommilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

— A zleźże już raz z tych obłoków! — zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił i rzekł:

— Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszkami palców za suknię.

— Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie — rzekła — ale to wiem, żem niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać, jak ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli się ciągnąć za wąsy, mruczeć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

— Przyjechaliśmy tu niby kuligiem, w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna, a i pogodę zdarzył Bóg mroźną.

— Jużem ja ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów wysłała,

żeby nam posiłek przyrządziła. A teraz maluczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco cieplej przyodzieję.

To rzekłszy, zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

— A co, mili barankowie? nie księżna?... A co Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jak żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

— Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, żem się do takiej persony mówić nie spodziewał.

— Nieboszczyk podkomorzy — rzekł Kmicic — więcej z nią w Kiejdanach, na dworze księcia wojewody, albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał i tam to tych górnych manier nabrała. A uroda — co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

— Pokazaliśmy się jak kpy! — rzekł ze złością Ranicki — ale największy kiep Kokosiński!

— O zdrajco! mnieś to łokciem pchał, trzeba ci było samemu ze swoją centkowaną gębą wystąpić!

— Zgoda, barankowie, zgoda! — rzekł Kmicic. — Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

— Jabym za nią w ogień skoczył! — zawołał Rekuć. — Zetnij Jędruś, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem kontent był, wąsa podkręcał i tryumfalnie na towarzyszów poglądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra, ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

— To temi saniami pojedziem? — pytała panienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia — jeszczem też słuszniejszych sani w życiu nie widziała.

— Nie wiem, kto tam niemi przedtem jeździł, bo zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli i bardzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, którzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona Kmity Czarnobylskiego, a ten zaś nie był z tego domu, z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

— A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdobył?

— A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules, którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrodziła.

— Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrodzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.

— Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białymi wilkami podszytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: „ruszaj!“ i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

— Dobrze waćpannie?

— Dobrze — odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały, jak wicher. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat, podobnych do kup śnieżnych, strzelały wysokiemi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych, z krakaniem donośnem. O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczuła słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć, ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie.

I lecą — lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

— Miłujesz mnie?

Otworzyła oczy.

— Jako duszę własną!

— A ja na śmierć i żywot!

I znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej, pocałunki, czy ta jazda zaczarowana.

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały w tył całymi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskały, a oni byli szczęśliwi.

— Chciałbym do końca świata tak jechać!—zawołał Kmicic.

— Co my czynimy? to grzech! — szepnęła Oleńka.

— Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

— Nie można. Mitruny już niedaleko.

— Daleko czy blizko, wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce do góry i począł krzyczeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

— Hej! — ha! hej — ha!

— Hej! a hop! hoop! ha! — odezwali się towarzysze z tylnych sani.

— Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? — spytała panna.

— A ot, tak! z radości! A zakrzyknijno i waćpanna!

— Hej — ha! — rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

— Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!

— Kompania się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:

„Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,
„Na bujne pola!
„Matuś! rycerze idą od boru,
„Oj mojaż dola!
„Córuś nie patrzaj — rączkami oczy
„Zatknij białemi,
„Bo ci serduszko z piersi wyskoczy
„Na wojnę z niemi!“

— Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? — pytała panna Aleksandra.

— Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęskności śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani: „Stój! stój! hej tam — stój!“

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, skąd towarzyszom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy wtem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca, zbliżającego się co koń wyskoczy.

— Na Boga! to mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! — rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz, zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie i począł mówić zdyszanym głosem:

— Panie rotmistrzu!...

— Co tam, Soroka?

— Upita się pali; biją się!

— Jezus Marya! — zakrzyknęła Oleńka.

— Nie bój się waćpanna... kto się bije?

— Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar. Mieszczanie się zaciekli i po prezydyum do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy, sanie idące z tyłu nadjechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend, wyskoczywszy na śnieg, otoczyli kołem rozmawiających.

— O co poszło? — pytał Kmicic.

— Mieszczanie nie chcieli obroków dawać, ani koniom, ani ludziom, że to asygnacyi nie było; żołnierze poczęli gwałtem brać. Oblegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

— To i nam trzeba na ratunek! — zakrzyknął Kokosiński.

— Wojsko łyczkowie oprymują! — wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. — Szach, szach! mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zestraszyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i zapiszczał:

— Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!

— Milczeć! — huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się, jak pijany. — Nic tam po was! nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza. Tam czekać, chybabym przysłał po sukurs.

— Jakto? — zaoponował Ranicki.

Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.

— Ni pary z gęby! — rzekł groźnie.

Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.

— Wracaj Oleńko do Wodoktów — rzekł Kmicic — albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! i kulik się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy, ucałował jej ręce i otulił ją w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

— Do Upity!

## ROZDZIAŁ IV.

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za to do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej, na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patryarcha zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek, z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana, prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przy-

jechał Kassyan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batorego pamiętający, a z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej, jak lat pięćdziesiąt, na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą, albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w stolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpił, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć od razu domyśliła się, że na zwiady przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

— Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, aleć to podobno jeszcze z Upity nie wrócił — mówił Pakosz — tak do ciebie przyjechaliśmy pytać, kochanienko, kiedy można?

— Myślę, że tylko co go nie widać — odrzekła panna. — Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusia i teraz odemnie.

— Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! — mruknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odrzekła zaraz żywo:

— Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i niedość politycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierzowi się nie dziwić, choć i na swego fuknie, bo to u nich humory, jako szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

— My też się nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go z nagła zobaczy. Czemużby człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem do starego Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził, jako nieboszczyk pan podkomorzy.

— Tak już powiedz, kochanienko, udał ci się, czy nie udał? — pytał Kassyan Butrym. — Taż to nasza powinność pytać?

— Bóg wam zapłać za troskliwość. Zacny to kawaler pan Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby się o tem mówić.

— Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilsza?

— Nic! Za resztę nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże, nieufność pokazać! Bogu lepiej dziękujmy.

— Co tu zawczasu dziękować! Jak będzie za co, to i dziękować, a nie, to nie dziękować — odpowiedział posępny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin, bardzo był ostrożny i przewidujący.

— A o ślubie wy mówili? — pytał znów Kassyan.

Oleńka spuściła oczy:

— Pan Kmicic chce jak najprędzej...

— Ot, co! jeszczeby nie k c i a ł! — mruknął Józwa — chybaby głupi! A któryż to niedźwiedź nie k c e miodu z barci? Ale poco się spieszyć, czy to nie lepiej zobaczyć, co za człowiek jest? Ojcze Kassyanie, taż już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako zając o południu pod skibą!

— Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, coby rzec — odpowiedział staruszek. — Pan Jezus powiedział tak: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kmicicowi źle nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

— Byle był po naszej myśli! — dodał Józwa.

Billewiczówna zmarszczyła swe sokole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

— Pamiętajcie asanowie, że nie sługę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi waćpanów zastąpić.

— To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? — pytał Józwa.

— To znaczy, żebyście mu przyjaciółmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecież on tu własnego dobra

strzeże, którem każdy wedle upodobania rządzi. Zali nieprawda, ojcze Pakoszu?

— Święta prawda! — odrzekł pacunelski staruszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

— Nie drzemcie, ojcze Kassyanie!

— Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę.

— To mówcie, co widzicie.

— Co widzę? ot co widzę... Familiant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz przytem sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jak najwięcej! Ale kompanią ma nicpotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewiczów słyszeli? że to wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamie są i kondemnaty i protesta i inkwizycye. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajechali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła tatarskim procederem żyli i dawnoby im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekcya pana Kmicica, któren jest możny pan! Ten ich miłuje i osłania i przy nim się wieszają, jak latem bąki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są. To pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili — i do kogo? — do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.

— Nie może być! nie może być!

— Może, bo było! Dobrodziejów pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewki dworskie powciągali do izby dla rozpusty!... Tfu! obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozpusty! Pierwszego dnia!

Tu stary Kassyan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki biły ciemne rumieńce, a Józwa ozwał się:

— A to wojsko pana kmiciwowe, które w Upicie zo-

stało, to lepsze? Jacy oficerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydło zrabowali jacyś ludzie, mówią, że pana Kmicica; chłopów mejzagolskich, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też ci. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało, jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i stróżuj, a czemu, bo pan Kmicic z kompanią przyjechał.

— Ojcze Józwo! nie mówcie tak! nie mówcie! — zawołała Oleńka.

— A jak mam mówić? Jeżeli pan Kmicic nie winien, to poco takich ludzi trzyma, poco z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził, albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tem gada!

— Co ja mam czynić? — pytała Oleńka. — Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moją prośbę?

— Jeśli nie wypędzi — mruknął z cicha Józwa — to sam taki.

Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.

— Zresztą niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie, albo ich! Jeśli to prawda, co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulęknę...

— My ci pomożem! — rzekł Józwa.

— Dla Boga! — mówiła Oleńka, unosząc się coraz bardziej — niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu w Lubiczu... Niech będą jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! hańba!... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to widzę, zdrajcy niegodni, którzy siebie i jego plamią. Tak jest, źle im z oczu patrzyło, ale ja głupia nie poznałam się na tem. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie,

żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

— To! to! to! — rzekł stary Kassyan. — Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.

— Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbę na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa jest, nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi. Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przedewszystkiem winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

— Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nie tylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

— My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze — mówił stary Kassyan. — My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz za młodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

— A pies? — mówił wzruszonym głosem pacunelski, łagodny staruszek. — Pójdziesz z młodym w pole, a on durny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

— Nie płacz! — rzekł Józwa Butrym.

— Nie płacz! nie płacz!... — powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich

i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać, tłómaczyć. A ta kompania! Drobne ręce panny zaciskały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaura i innych i dostrzegła w nich, czego pierwej nie widziała: że były to bezczelne twarze, na których błazeństwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać, jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

— Wstyd! sromota! — szeptała do się dziewczyna zbladłemi usty. — Co wieczora wracał ode mnie do dziewek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemię tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pospiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów — natychmiast! Ale co jej pozostaje?... Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

— Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tem.

Rozmyślania panienki przerwał pachołek, który wniósł naręcz jałowcowych drzewek do komina i rzuciwszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle z pod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

— Kostek! — rzekła — siędziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, proś, żeby tu przyjechał, a jeśli go niemasz, to niech włódarz, stary Znikis, siada z tobą i zaraz do mnie przybywa, a żywo!

Chłopak rzucił szczepek smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie. Oleńce stało się nieco lżej na duszy.

— Może to pan Bóg jeszcze odmieni! — pomyślała sobie — a może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili...

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem Billewiczowskim ze służbą, porządku pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

— Znikis jest w sieni! — rzekł. — Pana niemasz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił się jej do nóg.

— A jak tobie zdrowie, jasna dziedziczko?... Bóg daj najlepsze!

Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

— Co u was słychać? — pytała panienka.

Chłop kiwnął ręką.

— At! pana niema...

— To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu, co się dzieje?

— At!...

— Słuchaj Znikis, mów śmiele, włos ci z głowy nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompania swawolniki?

— Żeby to, jasna panienko, swawolniki!

— Mów szczerze.

— Kiedy, panienko, mnie nie wolno... ja się boję... Mnie zakazali.

— Kto zakazał?

— Pan...

— Tak? — rzekła panna.

Nastała chwila milczenia. Ona chodziła spiesznie po pokoju ze ściśniętemi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

— Czyj ty jesteś?

— A Billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.

— Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop, jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

— Panienko jasna, ja tam nie k c ę wracać, tam sądny dzień!... To panienko zbóje i zbereźniki, tam człek dnia i godziny niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ugodzona. Pobladła bardzo, ale spytała spokojnie.

— Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?

— Jak nie strzelali! I dziewki ciągali po komnatach i codzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

— I stajennego rozszczepili?...

— A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już im dworskich nie dość i po wsi łowią...

Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły na twarz panny i nie znikały już więcej.

— Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?...

— Oni, panienko, nie wiedzą, jeno słyszałem, jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o czeladź prosić i o prochy, że tam mogą być potrzebne.

— Mają tu wstąpić?... to dobrze. Idź teraz Znikis do kuchni. Już nie wrócisz do Lubicza.

— A, żeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie Kokosiński, Uhlik, Kulwiec-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony; ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną i nie poznali się na niczem.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już niż pierwszym razem i rzekł:

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodzice do stópek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieść kazała i z nami jechać. Weźmiemy szturmem Upitę i łyczkom trochę krwi upuścimy.

— Dziwi mnie — odrzekła Billewiczówna — że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał po ptasiemu zagwizdać, a Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie.

— Jako żywo! — rzekł — myślałby kto, że waćpanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia niema, przyszliśmy do takowej konwikcyi, że się tam mógł znaczny tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

— Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, coby się i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Z resztą prędzejby się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

— Trudno nam z waćpanną deliberować. Prosim tylko o prochy i ludzi.

— Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan.

— Czy ja dobrze słyszę? — rzekł Kokosiński. — Jakto waćpanna nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi na ratu-

nek, będziesz waćpanna żałowała? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

— Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice i podniósłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabijakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

— Zdrajcy! — rzekła — wy to go, jak złe duchy, do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszą rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? — na niego — przez was banitów i infamisów!

— Hej, na rany boskie, towarzysze! słyszycie? — zakrzyknął Kokosiński. — Hej! co to jest? żali nie śpimy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

— Precz stąd! — rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jeno zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojeściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną. Więc zgryźli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonem okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Nakoniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

— Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... politycznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy, skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić.

Wreszcie Kokosiński rzekł:

— Cóż mili barankowie?

— A cóż?

— Dobrze wam?

— A tobie dobrze?

— Ej! żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! — rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce — pohulalibyśmy tu z panienką po naszemu!...

— Idź, zadrzyj z Kmicicem! — zapiszczał Rekuć. — Stań mu!

Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już pokryta piętnami.

— I jemu stanę i tobie warchole, gdzie chcesz!

— A to i dobrze! — rzekł Rekuć.

Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

— Na tę pięść! — rzekł, potrząsając jakoby bochnem chleba — na tę pięść! — powtórzył — pierwszemu, który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy, poglądał to na jednego, to na drugiego, jakoby pytając niemo, który pierwszy zechce popróbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoili się zaraz.

— Kulwiec ma racyę! — rzekł Kokosiński. — Moi mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż kiedykolwiek... Jabym radził ruszać co prędzej do Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisałaby nas jako dyabłów. Dobrze, że tam żaden na nią nie warknął, choć mnie samemu świerzbiały ręce i język... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas podbechtać, to lepiej my go wpierw podbechtajmy. Nie daj Boże, aby nas opuścił. Zarazby tu obławę na nas, jak na wilków, uczyniono.

— Furda! — rzekł Ranicki. — Nic nam nie uczynią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partyę, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają. Daj rękę Rekuć, odpuszczam ci!

— Byłbym ci uszy obciął — zapiszczał Rekuć — ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzya spotkała.

— Kazać pójść precz takim, jak my kawalerom! — rzekł Kokosiński.

— I mnie, w którym senatorska krew płynie! — dodał Ranicki.

— Ludziom godnym! familiantom!

— Żołnierzom zasłużonym!

— I exulom!

— Sierotom niewinnym!

— Mam buty wyporkiem podszyte, ale już mi nogi marzną — rzekł Kulwiec. — Co będziemy, jak dziady, pod tym domem stali; nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czeladź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

— Do Upity!

— Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

— Bylebyśmy go nie minęli.

— Na koń, towarzysze! na koń!

Siedli i ruszyli stępa, gniew i wstyd przeżuwając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

— Ej, krwi mi! ej, krwi!

— Niechbyśmy się tylko z Kmicicem pokłócili — rzekł Kokosiński — przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką.

— Może to być.

— Boże nam pomóż! — dodał Uhlik.

— Pogańska córka, cieciorka zaciekła!...

Tak klnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

— Stul gębę! — krzyknął na Zenda Ranicki. — Jeszcze

nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wrońska, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali, jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dosyć jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku było pełno ludzi, jak zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała na nieznanych jeźdźców, wpół się domyślając, co to za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuście w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach, których pan Kmicic przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezyach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: miny rzęsiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od czasu do czasu: „Z drogi!“ Jaki taki z Butrymów spojrzał z podełba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

— Uważcie, mości panowie — mówił Kokosiński — jakie tu chłopy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

— Żeby nie ten wzrost i żeby nie szabliska, możnaby ich wziąć za chamów — rzekł Uhlik.

— Obaczcie-no te szablice! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! — zauważył Ranicki. — Chciałbym się z którym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą szablą szermować.

— Onby tak, jabym tak! Onby tak, jabym tak! — i szach!

— Łatwo sobie możesz owe gaudyum uczynić — zauważył Rekuć. — Z nimi nie trzeba wiele.

— Wolałbym się ja z temi oto dziewczętami popróbować! — rzekł nagle Zend.

— Świece nie panny! — wykrzyknął z zapałem Rekuć.

— Co waść mówisz: świece? — sosny! A pyski u każdej, jakoby krokoszem malowane.

— Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysią. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy, zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. To też przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani, wysłanych grochowinami i tyleż koni posiodłanych.

— Napijmy się gorzałki, bo zimno! — rzekł Kokosiński.

— Nie zawadzi! — odparł chór jednogłośny.

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkownej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta, siedząc na ławach, lub stojąc gromadami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopy duże, ponure i tak małomówne, że w izbie prawie nie było słychać gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału, albo rosieńskiego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy od lat sześćdziesięcin lub wyrostkowie do dwudziestu. Ci, dla omłotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrzawszy orszańskich kawalerów, odsunęli się od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny moderunek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił: „To z Lubicza?“ — „Tak, pana Kmicicowa kompania!“ — „To ci?“ — „A jakże!“

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwietrzył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli

tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić, spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnawo. Okna śnieg zasuł, a długi, nizki otwór gruby, w którym palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury, plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawalerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wodoktach i Zend począł nagle krakać, jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta poczęła się zbliżać rozweselona, zwłaszcza młodzi, potężni wyrostkowie o szerokich barach i pucułowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał — nagle przestał i po chwili obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zająca; zając beczał w ostatniej agonii, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasnął rozpaczliwie i zamilkł na wieki — a na jego miejsce rogacz odezwał się potężnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekucia.

— Sikorki siedzą wedle gruby!

— A prawda! — rzekł Kokosiński, przysłaniając oczy ręką.

— Jako żywo! — powtórzył Uhlik — jeno w izbie tak ciemno, żem nie mógł rozeznać.

— Ciekaw jestem, co one tam robią?

— Może na tańce przychodzą.

— A poczekajcie, spytam! — rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos, pytał:

— Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?

— Nogi grzejem! — ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy niem na długiej ławie z dziesięć niewiast,

starszych i młodszych, trzymających bose nogi na klocu, leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kloca suszyły się przemokłe od śniegu buty.

— To waćpanny nogi grzejecie? — pytał Kokosiński.

— Bo zmarzły.

— Bardzo grzeczne nóżki! — zapiszczał Rekuć, pochylając się ku klocowi.

— At! odczep się waszmość! — rzekła jedna ze szlachcianek.

— Radbym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, któren sposób jest następujący: jeno potańcować z ochotą, a zamróz pójdzie precz!

— Kiedy potańcować, to potańcować! — rzekł pan Uhlik. — Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem, niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się z kolei, bo przeciw potańcowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty, niktby bardzo nie protestował, ale reputacya „kompanii“ była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławicy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaura, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

— Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?...

Kulwiec-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.

— Wolę z dziewczyną — odrzekł — a z waścią to chyba potem...

Wtem nadbiegł Ranicki, z twarzą już pocentkowaną plamami, bo już burdę poczuł.

— Coś za jeden, zawalidrogo? — pytał, chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

— Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie, starcy, potężni i wyrostki ogromne; poczęli się także skupiać, pomrukując, jak niedźwiedzie.

— Czego chcecie, guzów szukacie? — pytał Kokosiński.

— At! co gadać! poszli precz! — rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę rękojeścią w piersi, aż się rozległo w całej izbie i krzyknął:

— Bij!

Rapiery zabłysły, rozległ się wrzask niewiast, szczęk szabel, zgiełk i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją, jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

— Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przesłonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać...

## ROZDZIAŁ V.

Tego samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów, na czele stukilkunastu ludzi, których ze sobą z Upity przyprowadził, żeby ich do Kiejdan hetmanowi W. odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małem miasteczku niemasz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan, żołnierz musi się uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, który tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolentarzy pana Kmicica, ażeby dojść do przekonania, iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć. I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana W., nieprzyjaciel zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu cofnęły się na pewien czas do Birż i Kiejdan, aby tam

przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mścisławska i mińska, albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze niezajętych. Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie, zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! mało było takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał, prócz pana Kmicica, który czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazyą rycerską, niż patryotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty, brał ludzi, jakich mógł znaleźć — więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi nizkiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachołków miejskich, lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a przytem łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą skąd miał brać prowiant i broń i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszy karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczaił się do krwi przelewu, tak, że nielada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zasłynęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant gra-

sował. Ale i miejscowe obywatelstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący Ranicki — tam zawsze można było pytać: obrońcy-li to, czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łzy i życie ludzkie.

Kompanionowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinna nie ciężyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cugłów swej bujnej naturze popuszczał.

Takie to było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się, ujrzawszy ich przez okno; tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny, jedni w hełmach pobranych na nieprzyjacielu, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezyach, inni w kożuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych, poszerszeniałych koniach, ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły, jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przytem może i chytrość niewieścia grała w tem pewną rolę, bo trzeba było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna naprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały, jak śnieg przy płomieniu.

— Miłuje mnie! niemasz wątpliwości! — pomyślała.

A on mówił:

— Jużem się tak stęsknił, żem całą Upitę chciał spalić,

byle do cię jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ściśnie, tych łyków.

— Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

— I! co za bitwa! Żołnierze poczęli trochę łyczków tarmosić...

— Aleś to waćpan uspokoił?

— Zaraz ci opowiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiędę trochę, bom się strudził. Ej! ciepłoż tu, ej! miło w tych Wodoktach, jako właśnie w raju. Radby tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego nie zawadziłoby także, bo na dworze mróz okrutny.

— Zaraz każę waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

— A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydlęcego nieco rozgrzali. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

— Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi w oczach pojaśniało i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to znów wąsa młodego pokręcał, namyślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

— Trzeba szczerą prawdę wyznać — mruczał pod nosem — niema rady, choćby kompania mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwił się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gosposia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagrzanego węgrzyna i puharek, rznięty ze szkła, z herbem Kmiciców.

Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrzawszy gosposię, poskoczył do niej.

— Hej! — zawołał — rączyny obydwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swoją jasną główkę, bronioną tylko przez opar, wychodzący z garnuszka.

— Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, poczem zakrzyknął:

— Jak Bóg w niebie, od takich delicyi rozum może się pomieszać!

— Waćpanu dawno się już pomieszał... Siadaj, siadaj.

Usiadł posłusznie; ona zaś nalała mu polewki w puharek.

— Mówże teraz, jakeś to w Upicie winnych sądził?

— W Upicie? Jako Salomon!

— To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:

— Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnacye na prowianty od hetmana wielkiego, albo od pana podskarbiego. „Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i egzakcyi nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą“.

— Mieli słuszność, czy nie mieli?

— Słuszność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a po staremu, kto ma szablę, ten ma zawsze lepszą racyę. Powiadają tedy łyczkom: „Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacye!“ I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodół, kilku też łyczków uspokoili...

— Jak to uspokoili?

— Kto weźmie szablą po łbie, to spokojny, jak trusia.

— Dla Boga! toż to zabójstwo!

— Właśniem na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniami i skargami na opresyą, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladują. „Brzuchy mamy puste — mówili — co nam czynić!“ Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyślał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedy to nie zaczną płakać: „Niechby już i asygnacyi nie dawali — prawią — ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specyałów, a my sami ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzów odpowiesz“.

— Bóg waćpana będzie błogosławił — zawołała Oleńka — jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi, uczynił!

— Jeślim uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się, jak student, który ma się do winy przyznać i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

— Mój królu! — zawołał wreszcie żałosnym głosem — mój klejnocie!... nie gniewaj się na mnie...

— Cóżeś znów waćpan uczynił? — pytała niespokojnie Oleńka.

— Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! — wyrecytował jednym tchem pan Andrzej.

Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pogrążyła się w milczeniu.

— Zetnij szyję! — wołał Kmicic — ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

— Jeszcze? — jęknęła panna.

— Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło stu głupich pachołków z oficyerami. Tych przepłoszyłem, a oficyerów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak, jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskiem uczynił.

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.

— Waćpan nie masz wstydu i sumienia! — rzekła.

Kmicic spojrzał zdziwiony, zamilkł na chwilę, poczem spytał zmienionym głosem:

— Prawdę-li mówisz, czy udajesz?

— Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacya waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwo przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

— Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

— Ale niemasz infamii na tych chudopachołkach, niemasz hańby na niczyjem imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą, prócz waćpana!

— Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i ladajaką partyę zebrać potrafi. Co mi uczynią, kogo ja się tu boję?

— Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tem, że ja się boję gniewu Bożego... i łez ludzkich się boję i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej, niż niejednemu, co się kawalerem powiada.

— Na Boga! nie groźże mi rekuzą, bo mnie jeszcze nie znasz...

— O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!

Oczy Kmicica poczęły iskry sypać, ale i w niej się rozigrała krew billewiczowska.

— Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! — mówiła śmiało dalej — jać się nie ulęknę, chociażem sama, a waść masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżeście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Waść to mnie nie znasz, jeśli myślisz, iż zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi

testament nie zabroni... Owszem, wola mojego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichszym już głosem:

— Kto ci o owem strzelaniu mówił?

— Wszystka szlachta z okolicy o tem mówi.

— Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! — odparł posępnie Kmicic. — Ale to stało się po pijanemu... w kompanii... jako że żołnierze pohamować się nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał.

— Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...

— To nie zbóje, to moi oficyerowie...

— Ja tym waćpana oficyerom kazałam pójść precz z mego domu!

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największem zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanionów żadnego na Kmicicu nie uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

— Kazałaś im pójść precz? — spytał.

— Tak jest.

— A oni poszli?

— Tak jest.

— Dalibóg, kawalerska w tobie fantazya! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zadrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmicicem!... Widzisz, wynieśli się pokornie, jak barankowie — widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrzał chełpliwie na Oleńkę i wąsa począł podkręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczesna chełpliwość, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

— Waćpan musisz wybrać między mną a nimi, inaczej być nie może!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

— A poco mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, co się podoba; ale jeżeli moi kompanionowie żadnej tu krzywdy, ani swawoli się nie dopuścili, to za cóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie związuje, jak wspólna służba. Wiedz o tem, że oni mało tysiąc razy uratowali mi życie; że ich prawo ściga, to tem bardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to prawie wszystko i familianci, z wyjątkiem Zenda, któreu jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kalwakatora niemasz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptactwo wszelakie udaje, samabyś go polubiła.

Tu pan Andrzej roześmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. To wszystko, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o niesławie, ześlizgiwało się po nim, jak grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić?

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła wreszcie. — Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

— Ja się ciebie wyrzekam? — pytał Kmicic z największem zdumieniem.

— Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, banitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

— Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czegobym potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszczą, jeślim ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

— Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjaciel, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katujesz, bo na prawo boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

— Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Ratujcież mnie anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam nawet król i wszyscy dyabli rogami przystępu bronili, a choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

— Nie wzywajże złych duchów, bo cię usłyszą! — zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

— Czego odemnie chcesz?

— Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastała cisza. Słychać było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancerz, pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział, co jej odrzec, jak się bronić. Potem począł chodzić szybkimi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrzenie i żal. Było im ze sobą ciężko i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

— Bądź zdrowa! — rzekł nagle Kmicic.

— Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! — odrzekła Oleńka.

— Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

— A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? — odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce i rzekł:

— Na rany Chrystusa! czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Bijże mnie, kto w Boga wierzy! bij, nie żałuj!

Nakoniec wybuchnął:

— Nie płacz, Oleńko! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien! Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej.. bo cię miłuję... Dla Boga! serce mi się rozpęknie... uczynię wszystko... jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspakajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:

— Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim pocłapali żołnierze, rozciągnąwszy się wężem po szerokim gościńcu. Jechali przez Wołmontowicze, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

— Panie rotmistrzu — spytał — a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

— Ruszaj precz! — odpowiedział Kmicic.

I jechał na przodzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przedewszystkiem złość na samego siebie. Pierwsza to była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia i rachunek ten ciężył mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacyą i cóż uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na prezydyum poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi... Uczynią mu proces — przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecież nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partyę zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam

prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie i w sercach ludzkich i w jego własnem sumieniu i w sercu Oleńki...

Tu, gdy wspomniał, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą, jak anieli niebiescy. I ot! brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz wrócić, co koń wyskoczy, i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dzisiaj twarz jego.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. „Na Pannę Najświętszą! — myślał w duchu — uczynię wszystko, co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają“.

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza, zastanie ich najpewniej pijanych, albo z dziewczętami i chwyciła go taka złość, że mu się chciało szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził i siec ich bez miłosierdzia.

— Dam ja im! — mruczał, targając wąs — jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trenzlę targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to, mruczał do żołnierzy:

— Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg wpaść mu pod rękę...

Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokoło był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie, niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach — jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała mu się tak długa, jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawem światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż

zresztą, co prawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie, na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomenderował:

— W konie!...

Pomknął, jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach i na pustych polach lecieli, jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, iż czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero, gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrocie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć, ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od świateł, usłyszeć głos uhlikowego czekanika, skrzypków, albo wesołe okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światełko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by potrzymać strzemię rotmistrzowi.

— Iść spać! — rzekł Kmicic — kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór, stodół i przynieść im siana z odryny.

— Słucham! — odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zlazł z konia. Drzwi od sieni otwarte były na rozcież, a sień wyziębiona.

— Hej tam! jest tam kto? — wołał Kmicic.

Nikt się nie ozwał.

— Hej tam! — powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Popili się! — mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się

kaganek łojowy czerwonem, dymiącem światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiał płomieniem, tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej nic dojrzeć. Dopiero, gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci, leżących równo pod ścianą.

— Popili się na umor, czy co? — mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

— Wstawajcie tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłemi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycyi i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym pasie, bo twarz i głowa przedstawiały jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydną, bez oczu, nosa i ust — tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zend z wyszczerzonymi zębami i wyszłemi na wierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci z kolei Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszów, bo dawny sąsiad blizki. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zapewne sztychem zadaną. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwiec-Hippocentaurus z żupanem podartym na piersiach i posiekaną gęstymi razami twarzą. Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekuciowi, w oczy za-

świecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać z lekka rannym.

— Rekuć, Rekuć! — wołał — to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały naprzemian.

— To ja! — rzekł Kmicic.

Oczy Rekucia otwarły się na chwilę zupełnie — poznał twarz przyjaciela i jęknął z cicha:

— Jędruś!... księdza!...

— Kto was pobił?! — krzyczał Kmicic, chwytając się za włosy.

— Bu-try-my... — ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszalny.

Poczem Rekuć wyprężył się, zesztywniał, otwarte oczy stanęły mu mu w słup — i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek — sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy, jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzał na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

— Bywaj kto żyw! bywaj!...

Żołnierze, którzy roztasowawali się w czeladnej, posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.

— Pobici! pobici! — powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przyleceli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach. Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań, jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i — przeciw swej na-

turze — spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciał nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

— Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

— Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowem światłem, wychodzącem jakby z pod ziemi; stopniowo niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekłbyś od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona łuna oblała całą okolicę. Jedno morze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i iskier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i oślepłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy poblizkich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów, zbierały się po drogach, przed domami i poglądając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust trwożliwe wieści: „Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwyczajny pożar!“

Huk rusznic, dochodzący od czasu do czasu z oddali, potwierdzał te przypuszczenia.

— Pójdźmy na pomoc! — wołali śmielsi — nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodsi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i w Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

— Oleńko! wstawaj! — wołała panna Franciszka Kulwiecówna.

— Niech ciotunia wejdzie! Co tam się dzieje?

— Wołmontowicze się palą!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Strzały aż tu słychać, tam bitwa! Boże zmiłuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, poczem wyskoczyła z łóżka i poczęła śpiesznie szaty narzucać. Ciało jej dygotało, jak we febrze. Ona jedna domyśliła się od razu, coto za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanię za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi.

— Nie otwierać! nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem między zgromadzone niewiasty, wpadł pacholik Kostek.

— Panienko! — wołał — jakiś człek stuka, otwierać, czy nie?

— Samli jest?

— Sam.

— Idź, otwórz!

Pachołek skoczył, ona zaś chwyciwszy świecę, przyszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szczęk żelaznej zapory, skrzypienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

— Koń mi pod lasem padł! — krzyknął — ścigają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiła weń oczy:

— Waść spaliłeś Wołmontowicze?

— Ja!... ja!...

Chciał coś dalej mówić, gdy w tem od strony drogi i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Dyabli po mą duszę!... dobrze! — krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Panna Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do prządek:

— Jeśli będą pytać, powiedzieć, że niemasz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjść!...

Poczem do Kmicica:

— Waść tam! — rzekła, ukazując na przyległą izbę.

I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewicze, Domaszewicze i inni wpadli do domu. Ujrzawszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej — ona zaś, stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

— Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? — pytała, nie mrużąc oczu przed groźnemi spojrzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

— Kmicic spalił Wołmontowicze! — krzyknęła chórem szlachta. — Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...

— My ludzi jego wybili! — rozległ się głos Butryma Józwy — a teraz jego głowy chcemy!...

— Jego głowy! krwi! Rozsiekać zbójcę!

— Gońcie go! — zawołała panna. — Czegóż tu stoicie? gońcie!

— Żali nie tu się schronił? My konia jego pod lasem znaleźli...

— Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

— W las uszedł! — zawołał jakiś szlachcic. — Hajże, panowie bracia!

— Milczeć! — huknął potężnym głosem Józwa Bu-

trym. — Panno! — rzekł. — Nie ukrywaj go!... To człek przeklęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głowę:

— Przeklinam go wraz z wami!...

— Amen! — krzyknęła szlachta. — Do zabudowań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

— Hajże! Hajże!

Szczęk szabel i stąpanie rozległo się nanowo. Szlachta wypadła przed ganek i siadała co prędzej na koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudowaniach, w stajniach, oborach, w odrynie — potem głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nadsłuchiwała, dopóki zupełnie nie znikły, poczem zapukała gorączkowo do drzwi komnaty, w której ukryła pana Audrzeja.

— Niema już nikogo! wychodź waść!

Pan Kmicic wytoczył się z izby, jak pijany.

— Oleńka! — zaczął.

Ona wstrząsnęła rozpuszczonymi włosami, które pokrywały niby płaszczem jej plecy.

— Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia i uchodź stąd!...

— Oleńka! — jęknął Kmicic, wyciągając ręce.

— Krew na waćpana ręku, jako na Kainowem! — krzyknęła, odskakując, jakby na widok węża. — Precz, na wieki!...

## ROZDZIAŁ VI.

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach, zgliszcza domów, zabudowań gospodarskich, popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach, wśród dogasających węgli, gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków, lub ostatków mienia. Był to dzień żałości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięstwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów,

których padło najwięcej, nie było zaścianka, w którymby wdowy nie opłakiwały mężów, rodzice synów lub dzieci ojców. Tem trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najtęższi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni dali gardła w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się dostał do puszczy Zielonki, a stamtąd do Rogowskiej, gdzie chyba jedni Domaszewicze mogli go wyśledzić. Wielu twierdziło też, że do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to, co najmniej, obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzelcom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach do obrony; spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schelingowie, Sołłohuby i inni, kozaków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto, spodziewające się oblężenia. A zaś pomiędzy zbrojnymi ludźmi, pomiędzy szlachtą, między gromadami niewiast, chodziła żałobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przeszywały jej serce, bo przecież ona była pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Do niej to przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobił, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która go najbliżej

poznała, wiedziała o tem, najlepiej. Była cała przypaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego jakiż ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny; że miał w sobie takie przymioty, które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada, że mógł zyskać zamiast wzgardy, podziw i miłość ludzką — zamiast przekleństw, błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chwytał ją żal prawdziwie niezmierzony nad tym nieszczęśnikiem i niewygasła miłość nurtowała na nowo w sercu, podsycana świeżem wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków dla chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawymi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojno poprzeć, zbyt był sprawami publicznemi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamysłach, tyczących się domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie, niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasu wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa, stawał się łupem postronnych, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda

cała, protestując przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadła z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli lżej oddychać. Możniejsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na straż do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęła się zwolna rozjeżdżać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki dosięgnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majętność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przytem w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nie tylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom go oddać, ale „panienka“ odradziła stanowczo.

— Nie płaćcie gwałtem za gwałt — mówiła — bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek możny i skoligacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racya będzie tak jasna, aby każdy sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie brali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic napowrót się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni

sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów, wszystko, co wychodzi z ust Billewiczowskich za ewangielię uważać — i Lubicz pozostał nietknięty — i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby był do czasu spokojnie w Lubiczu osiąść.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nieznany. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a ktoby mu co złego uczynił, tedy on mu tem samem rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towarzyszów moich — wbrew prawom boskim i ludzkim — bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jakaby ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to ś. p. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroiły ramię moje, wtedy właśnie, gdym — świadczę się Bogiem! — o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój cale odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mi teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie rerespektuje. Bogdajby się to nie stało, co mi w twoich

oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy, najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacyi sypiam i w desperacyi się budzę, nie mogąc ciebie, ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami, wszystko zniosę, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacyi nieprzyjacielskiej i majętności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacya popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków...“

Ile tam głosów litośnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość, jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwem mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecież za pierwszem słowem o wszystkiem zapomnieć, wszystkiego przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakże to mogła powiedzieć człowiekowi, który okrwawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: „przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie, oddaję ci miłość i swoją rękę“.

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tem, choćby mi się serce miało rozedrzeć.

Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majętnością, ni pieniądzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie majętność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy, to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja cię przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzieindziej szczęścia, najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze..."

Panna Aleksandra polała łzami każde słowo listu, potem zapieczętowała go Billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

— Skąd jesteś? — pytała, obrzucając wzrokiem tę dziwaczną postać pół chłopa, pół-sługi.

— Z lasu, panoczko.

— A gdzie twój pan?

— Tego mi nie wolno powiedzieć... Ale on stąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.

— Masz talara! — rzekła Oleńka. — A twój pan nie w chorobie?

— Zdrowy on junak, jak tur.

— A nie w głodzie? nie w ubóstwie?

— On bogaty pan.

— Idź z Bogiem.

— Kłaniam do nóg.

— Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł — i znowu zaczęły płynąć dnie, tygodnie bez wieści o Kmicicu; przychodziły za to publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska moskiewskie Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukrainnych, w samem Wielkiem Księstwie województwa połockie, smoleńskie, witebskie, mścisławskie, mińskie i nowogródzkie były zajęte; jeno część wileńskiego, brzeskolitewskie, trockie i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze

wolną piersią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni widać szczebel niemocy zeszła Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z któremi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stugłowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach i statyści i wojownicy zaręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nie tylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała owej możności na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze niezajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędzy i rozpaczy. Miejscowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia — więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie nizkiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, stąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo, nie tylko w lasach, ale i na polach. Gdy zeszłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grasować głód, brat wojny. I rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu, nie trudno było spotkać trupy ludzkie, leżące po polach, przy drogach, skostniałe, ogryzione przez wilki, które, rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całemi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkiem o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyskiwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb,

o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny niepomyślne i te nieszczęścia dotąd niebywałe, do imienia królewskiego są przywiązane. Tłumaczono chętnie, że litery J. C. R. wybite na pieniążkach, znaczą nie tylko *Joannes Casimirus Rex* ale i *Initium Calamitatis Regni.* A jeśli w prowincyach, jeszcze przez wojnę niezajętych, powstawał taki przestrach i bezład, łatwo się domyśleć, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprężona, targana przez partye, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, poglądały na się, jakby nieprzyjacielskie państwa, a za niemi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbim W. Ks. L., prawie w otwartą zmieniła się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym od dawna była solą w oku potęga Radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkimi zaiste wielkiego hetmana obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szkłowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej, niż szczęścia Rzeczypospolitej, pożądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś słali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach — na miejscu zaś rozprzęgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoroby po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzieniegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza, że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem ucierali się z wojskami nieprzyjacielskiemi, niewiele wprawdzie wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami go szarpiąc i przystęp do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo aż do Szkłowskiej przegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znaczniejszych korzyści. Gosiewski, to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ściągali wojska z leż zimowych i skąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje na nowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ściągać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel hamował. „Trzeba było o tem przed Szkłowską potrzebą pomyśleć — mówili Gosiewszczycy — teraz za późno“. I istotnie było za późno. Koronne wojska przyjść z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremetowi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach niebywałych, krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarnieckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało, ale sława za wojska, ani za pomoc starczyć nie mogła, więc hetmani litewscy ustępowali zwolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jeno kalwini ośmieleni blizkością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale za to przywódcy rozmaitych watah wolentarskich i partyi niewiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuścili swych łotrzyków i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc z nagła lepszy duch zapanował na Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie zwolna do zdrowia powracać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę przyjdzie z zaciężnemi chorągwiami, poczem wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta poczęła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

## ROZDZIAŁ VII.

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patryarchy pacunelskiego, który miał reputacyę najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską. Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażył hojnie dobrem srebrem, dawszy każdej po talarów sto, prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familiantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się słoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli przy robocie pod Szkłowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewicze i Stakjanowie, a za nimi inni, dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę dla kałamaszek, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczem nie zbywało. Ilekroć

czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po cyrulika do Poniewieża, słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze i medyka sławnego na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, któryby i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po rozbiciu i wypędzeniu Kmicica, poszła rozmiłowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. „Co będziem dla niej męża po świecie szukać! — mówili starzy na umyślnej sesyi, na której oną sprawę roztrząsano. — Gdy tamten zdrajca bezecnymi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możem na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera i my sąsiada i wodza dostaniem“.

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi najprzód do pana Wołodyjowskiego, który nie wiele myśląc, na wszystko się zgodził, a potem do „panienki“, która, jeszcze mniej mysląc, stanowczo się sprzeciwiła. — „Lubiczem — rzekła — jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozporządzać i majętność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skażą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tem nie wspominajcie. Za dużo mam w sobie boleści, żebym o czemś podobnem myśleć mogła... Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywoźcie, bo wcale do niego nie wyjdę“.

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domu wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodyjowski, a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zouia. Rosłe to były dziewczyny i rumiane,

miały włosy jak len, oczy jak niezabudki, a plecy szerokie. Pacunelki wogóle słynęły z piękności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! Do tego stary Gasztowt i na edukacyę nie żałował. Organista z Mitrunów nauczył je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni. Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wołodyjowskim, jedna starając się ubiedz drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryśkę i Zonię, bo Terka na zdradliwość męską zbytnio miała zwyczaj narzekać.

Nieraz bywało długimi wieczorami zimowymi, stary Gasztowt, podpiwszy krupniczkiem, spać idzie, a one z panem Wołodyjowskim siędą wedle komina: miiutka Terka kądziel przędzie, słodka Marysia darciem kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wołodyjowski zacznie opowiadać o wojnach, które przebył, albo o dziwach, które widział w różnych magnackich domach, to robota ustanie, dziewczęta w niego, jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: „Ach! ja nie żyję na świecie! Kochanieńcyż wy moi!“ — a druga odpowie: „Cała noc oka nie zmrużę!“

Pan Wołodyjowski zaś, w miarę, jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora zasiedli, jak zwykle po wieczerzy przed okapem, z pod którego raźne światło padało na całą izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

— Sam waszmość zaśpiewaj! — odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał — ja mam robota. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

— Pewnie, żem się wyuczył. Ale już dziś niech tak

będzie: ja zaśpiewam naprzód, a waćpanna po mnie. Robota nie przepadnie. Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewnicbyś się nie sprzeciwiła, mężczyźnie zawsześ oporna.

— Bo warto.

— Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?

— At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodyjowski zabrzdąkał w lutnię, nastroił pocieszną minę i zaintonował fałszywym głosem:

Przyjechałem w takie miejsce,
Gdzie mnie żadna panna nie chce!...

— Ot! to niesprawiedliwość! — przerwała Marysia, zarumieniwszy się jak malina.

— To jest żołnierska piosenka — rzekł pan Wołodyjowski — którąśmy śpiewali w hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.

— Jabym się pierwsza użaliła.

— Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam po co dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieśń pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrości, niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię „w ciupo“, poczęła śpiewać:

Nie kodź do lasu, czypać bzu,
I nie wierz kłopcu, jako psu!
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,
Kiedy cię kocha, powiedz mu: „at!“

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął:

— Wszyscyż to chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesznurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią:

Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

— Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! — rzekła Marysia.

— Jak nie mam uważać — rzecze pan Wołodyjowski — gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

— Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz — odpowiedziała nadąsana Terka.

— Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny — odparł rycerz; — co do śpiewania, muszę przyznać, żem i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyszał. Waćpannę tylko w pluderki przybrać, a mogłabyś u świętego Jana śpiewać, któren kościół jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

— A czemużby to ją w pluderki trzeba ubierać? — spytała najmłodsza Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

— Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jeno mężczyźni i młode chłopcy; jedni grubymi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, jak i na skrzypcach cieniej nie można. Słyszałem ich wielekroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcyę teraźniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnymi gorgami i Kapuła, i Dżań Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Mielczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

— Ot, to i pewno! jako żywo! — rzekła, składając ręce Marysia.

— A króla, wasza mość, często widywał? — pytała Zonia.

— Tak z nim gadałem, jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mię ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał musi go pokochać.

— My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę żali zawsze ma na głowie?

— Zaśby tam co dnia w koronie chadzał; żelaznejby na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość kapelusz czarny nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

— Powiadają, że zamek królewski, to nawet i od kiejdańskiego wspanialszy?

— Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W nich to waćpanny ujrzycie rozmaite wojny i wiktorye, pendzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława; napatrzyć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiorem albo lamą kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum, kwoli większej jeszcze rozrywki...

— Cóż to takiego teatrum?

— Jakżeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedye grają i skoki włoskie misterne wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne...

— O Jezu! — zawołały pacunelki.

— ...Z dyabłami. Czasem morze niezmierne, na niem

okręty i syreny. Jedne persony spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

— Jenobym piekła widzieć nie chciała — zakrzyknęła Zonia — i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie pouciekają.

— Nie tylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy — odrzekł pan Wołodyjowski — bo to wszystko udane, nie prawdziwe i przeżegnawszy, nie znika. Niemasz w tem sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczty siadają.

— A z rana i w dzień co czynią?

— To zależy od humorów. Rano wstawszy, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której niemasz podłogi, jeno cynowy dół, jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

— Woda w komnacie... słyszałyście?

— Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła, albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i pływać można w komnacie, jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku, jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz i posłowie zagraniczni toż samo powiadają: żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzeczne nacye na świecie, przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu swojem przyozdobił.

— Szczęśliwy nasz król! — westchnęła Terka.

— Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzeczpospolitą gnębią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą?... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie bywało. Najlichszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie

do niedawna wojowali. Tak to Bóg pychę karze. Chwałaż mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech... bo, czas, wielki czas za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

— Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

— Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpannami, ale im mi lepiej, tem mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racye dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi, co nie dla promocyi, ale z afektu dla ojczyzny służą... a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż wkońcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

— Waćpan pójdziesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników?

— Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi, jak w Pacunelach!... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

— Pewno, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą, jak wilkołakiem.

— Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z tego, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę i majętność utracił.

— I pannę.

— I pannę. Siła o niej dobrego opowiadają.

— Po całych dniach ona nieboga teraz jeno płacze i płacze...

— Hm! — rzekł pan Wołodyjowski — przecie nie po Kmicicu płacze?

— Kto to wie! — rzekła Marysia.

— To tem gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądubyśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tem wiedzieć, że laudańscy wrócili i ani nosa nie pokaże.

— Mają podobno nasi znowu ruszyć — rzekła Terka — bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.

— E! — rzecze pan Wołodyjowski — hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie niemasz. Desperacya prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy pan Wołodyjowski, wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyczeć za drzwiami przeraźliwie:

— Hej tam! na miłosierdzie Boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!...

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdążył jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznany człek, który rzucił się do nóg rycerza.

— Ratunku, jaśnie pułkowniku!... Panna porwana!...

— Jaka panna?

— W Wodoktach...

— Kmicic? — wykrzyknął pan Wołodyjowski.

— Kmicic! — zawołały dziewczęta.

— Kmicic! — powtórzył posłaniec.

— Ktoś ty jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— Włódarz z Wodoktów.

— My jego znamy! — rzekła Terka — on dryjakiew dla waszej mości woził.

Wtem z za pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabił do izby.

— Konie siodłać! — krzyknął pan Wołodyjowski. — Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

— U Butrymów ja już był — rzekł włódarz — bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

— Kiedy panna porwana? — pytał Wołodyjowski.

— Dopiero co... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł.

Stary Gasztowt przetarł oczy.

— Co? panna porwana?

— Tak jest... Kmicic ją porwał! — rzekł pan Wołodyjowski. — Jedziem z pomocą!

To rzekłszy, zwrócił się do posłańca:

— Ruszaj do Domaszewiczów — rzekł — niech z rusznicami przybywają!

— Nuże i wy kozy! — krzyknął nagle stary na córki.— Nuże kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?

— Pójdźmy i my budzić — rzekł Wołodyjowski — będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników: Ogarek i Syruć. Wszyscy puścili się drogą, między chatami zaścianku, bijąc w drzwi, w okna i krzycząc w niebogłosy:

— Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicic w okolicy!...

Słycząc te wołania, jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy, o co rzecz idzie, poczynał sam wrzeszczeć: „Kmicic w okolicy! Panna porwana!“ — i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć, albo do chaty, szabliska po ścianie w ciemnościach macać. Coraz więcej głosów powtarzało: „Kmicic w okolicy!“ — ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Nakoniec szlachta wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesłał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie

zeszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman W. odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni, mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed któremi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

— Stój! kto jedzie? — poczęły wołać głosy z owego oddziału.

— Gasztowtowie!

— My Butrymi, Domaszewicze już są.

— Kto u was dowodzi? — pytał pan Wołodyjowski.

— Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.

— Macie wieści?

— Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmontowicze nie przechodzić.

— Do Lubicza? — pytał ze zdziwieniem pan Wołodyjowski. — Cóż on się tam myśli bronić? przecie Lubicz nie forteca?

— W siłę widać ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszych z wojska, bo śmiało sobie poczyna.

— Dobra nasza! — rzekł pan Wołodyjowski. — To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

— U nas Butrymów sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

— Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszecią bronić przepraw na bagnach — żywo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!

— Wedle rozkazu!

Uczynił się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów, rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

— Gościewiczów nie widać? — pytał pan Wołodyjowski.

— A! to wasza mość pan pułkownik... Chwała Bogu! — zawołali nowoprzybyli. — Gościewicze idą już... słychać ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

— Wiem. Niedaleko z nią zajedzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel — i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągało do Wołmontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewicze, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodyjowski sprawił oddział i aż mu serce rosło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodyjowski ucieszył się jeszcze i dlatego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi, owym borem, przez który Kmicic dawniej przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach błyszczących. Szlachta gwarzyła z cicha o nadzwyczajnem zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

— Chodzili tu rozmaici ludzie — mówił jeden z Domaszewiczów — myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

— A jakże. Co dzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów, niby po jałmużnę — odrzekł drugi.

— A co to za żołnierz przy Kmicicu?

— Czeladź z Wodoktów mówią, że Kozacy. Pewnie się

Kmicic z Chowańskim albo z Zołtareńką zwąchał. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

— Jakżeby to on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?

— Z tak wielką watahą nie łatwo się przemknąć? Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała w drodze.

— Po pierwsze mógł lasami iść, a po drugie, małoż to panów z dworskimi kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół; jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami powiadali.

— Będzie on się bronił — mówił jeden z Gościewiczów — bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

— Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie stąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

— Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiejby było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

— Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili. Czy waszmościom wiadomo, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

— Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potencya i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a jużby ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł.

— Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którem było pełno zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności — widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za

życia wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął z cicha sam do siebie:

— Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krzątanina była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili napowrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

— Wasza mość! — rzekł — cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

— Nie wywiozą — odparł pan Wołodyjowski — nie tylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznaję jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży.

— Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

— Dobrze! — odrzekł pan Wołodyjowski. — Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

— Ta jedna, bo z tyłu stawy i bagna.

— To dobrze... Z koni waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwarły się w długą linię i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu.

— Czekać komendy! — rzekł z cicha. — Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórza. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się

przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

— Hej! a szto za lude?

— Alt! — zakrzyknął pan Wołodyjowski! — Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

— Biegiem!

— Bij, zabij! — odkrzyknęli laudańscy, rzucając się naprzód, jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Naprzód szli murem potężni Butrymowie, najsroższi w ręcznem spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, depcąc, niwecząc i tnąc zapamiętale; za nimi walili Domaszewicze i Gościewicze.

Kmicicowi bronili się mężnie z za wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie zdeptane zagasły i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta tryumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

— Pod dwór! do drzwi! — zawołał pan Wołodyjowski.

Rzeczywiście pod samemi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeciądze, niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków, nabijanych raz przy razie olbrzymimi gwoździami, na których potężnych łbach szczerbiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopy parli od czasu do czasu ramionami i to próżno. Drzwi miały z tyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka, szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Huknęły znów strzały. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną piersią. Inni zamiast się zmieszać, rąbali tem zacieklej.

Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami, uczynionemi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopi z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie oblężonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

— Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój, do stu dyabłów!... rozmówmy się!

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał:

— Kto mówi?

— Chorąży orszański, Kmicic! — brzmiała odpowiedź. — A z kim mówi?

— Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

— Czołem! — ozwał się głos z za drzwi.

— Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

— Mnieby słuszniej zapytać: czego waść chcesz? Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

— Zdrajco! — zakrzyknął pan Michał. — Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przelaną i za tę

pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest *raptus puellae?* Musisz tu gardło dać!

Nastała chwila milczenia.

— Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą — rzekł znów Kmicic — gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.

— To je otwórz... tego ci nie bronię!

— Pierwej jeszcze niejeden kondel laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

— To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno!

— Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loncik już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastała jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał napróżno odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrą w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

— Dla Boga! — mruknął któryś z Butrymów — to szalony człek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przyszła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

— Jest inny sposób! — zakrzyknął. — Wychodź ze mną zdrajco na szable! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!

Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich biły niespokojnie.

— Na szable? — spytał wreszcie Kmicic. — Może to być?

— Jeślić tchórz nie oblatuje, to i będzie!

— Parol kawalerski, że odjadę wolno?

— Parol...

— Nie może być! — krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

— Cicho waściowie, do stu dyabłów! — huknął pan

Wołodyjowski — a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:

— Będzie tak, jak wasza mość chce...

— A cóż tam? — pytał szydersko Kmicic. — Szaraczki się zgadzają?

— I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

— Niech przysięgają!

— Kupą tu waszmościowie, kupą! — wołał pan Wołodyjowski na szlachtę, stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównemi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy, jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

— Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, żem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tem od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach zaprzysiądz musicie, na Boga Najwyższego i święty krzyż...

— Poczekajcie jeno! — zawołał Kmicic — wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

— Panna tu zostanie — odparł pan Wołodyjowski — a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

— Nie może być.

— To się prochami wysadzaj! Już my jej odżałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wolą...

Nastała znów cisza.

— Niechże tak będzie — rzekł po chwili Kmicic. — Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjecie jej pod ziemią! Przysięgajcie!

— Przysięgajcie! — powtórzył pan Wołodyjowski.

— Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty krzyż. Amen!

— No, wychodź, wychodź waść! — rzekł pan Michał.

— Pilno waszmości na tamten świat?

— Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczękać.

Pan Wołodyjowski usunął się w tył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światełka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską, a młodą. Stanąwszy we drzwiach, spojrzał śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

— Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, ale mniejsza z tem!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

— Jam jest! — odrzekł.

— Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz — rzekł Kmicic, czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza — spodziewałem się zacniejszą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

— Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli, jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

— Gdzie staniemy? — spytał żywo Kmicic.

— Tu... podwórzec równy, jak stół.

— Zgoda! gotuj się na śmierć.

— Takiś waść pewien?

— Widać, żeś w Orszańskiem nie bywał, skoro o tem wątpisz... Nie tylkom pewien, ale i żal mi waćpana, bom o tobie, jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... po co mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majętność i Bóg widzi, swego tylko dochodzę. Prawda jest, żem szlachtę w Wołmontowiczach wysiekł, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierwej został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficyerowie, czy nie swawolnicy, mniejsza z tem, dość, że tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi, jako

psów wściekłych, za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany Boskie zaprzysięgnę, żem tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... po sąsiedzku. Lepiej wolę tak, jak inaczej...

— A jacyż to ludzie z waćpanem teraz przyszli? Skądże wziąłeś tych pomocników? — pytał pan Wołodyjowski.

— Skąd wziąłem, to wziąłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

— Takiś to?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś? A czemże mu za oną zasługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc, inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawaj-no teraz, stawaj, bo powiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

— Chciałeś! — rzekł Kmicic, stając w pozycyi.

Ale pan Wołodyjowski nie spieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się na około po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągała się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna — rzekł pan Wołodyjowski — ale słońce nie prędko jeszcze wejdzie. Może waść życzysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie! — zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty — a skoczyć-no po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie i po niejakim czasie blizko pięćdziesiąt czerwonych

płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt!

A Kmicic odparł od razu:

— Pułkownika chowają, to i pompa być musi!

— Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był, jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicic.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął, jakby z niechcenia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmicic atakował z furyą, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz próbujący ucznia i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

— Pogawędzimy — rzekł — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... widać tam sami musicie groch młócić, bo waćpan machasz, jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Żaliś to naprawdę w Orszańskiem najlepszy?... Ten cios jeno u pachołków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędzać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku

sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś“ — już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał blady, z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony nie mniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunąwszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośne poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrywały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza nad mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą — i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął z za pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pienił się, rzęził, nakoniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł pan Wołodyjowski — nie padł na wznak!

I zagiąwszy połę Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, a w tych krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

— Dobić zdrajcę!... dobić... rozsiekać!...

I kilku Butrymów biegło z dobytemi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach — szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmicicowej, jakby ją wicher porwał — pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącemi oczyma:

— Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu tego męża, on zaś rzekł:

— Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie szlachtą będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero przeciwnikowi, w pojedynku zwyciężonemu.

— On zdrajca! — mruknął któryś z Butrymów. — Takiego godzi się bić.

— Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcyą, niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrywać?

— Krzych Domaszewicz. On z dawna wszystkich na Laudzie opatruje.

— Niechże go zaraz opatrzy, potem na łoże go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapciami ludzi Kmicicowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się bez oporu; ledwo kilkunastu, wypadłszy przez tylne okna domu, skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających

Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmicicowych kazano kopać chłopom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski zaś, szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku, położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka, o wązkich, grubo kratowanych oknach, zbudowana w kwadrat, z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicic był dom wysadził prochem, to izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicic, lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

— Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas z pod narzuconych włosów spojrzały na rycerza oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

— Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Wodoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni, strząsnęła w tył włosy i spytała:

— Kto waćpan jesteś?

— Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

— Słyszałam bitwę... strzały?... Mów waćpan...

— Tak jest. My to przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

— Dziękuję waści! — rzekła pospiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. — A z tamtym, co się stało?...

— Z Kmicicicem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chełpliwością, ale, jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, nakoniec siadła ciężko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz podskoczył ku niej żywo.

— Co waćpannie jest?

— Nic... nic... Czekaj waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

— Co mnie pan Kmicic! — przerwał Wołodyjowski — tu o pannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła nagle spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

— Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

— Pan Kmicic ranny — odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.

— Żyje?...

— Żyje.

— Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodyjowski stał przez chwilę, ruszając mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

— Zali mi ona dziękuje za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej,

stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wynosiło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętemi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

— Wolno tam! — mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz — wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

— A czem będziem trzymać, kiedy ręce zajęte — odpowiedzieli idący w przedzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak, jak i Kmicic i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

— To panienka! — rzekł Krzych Domaszewicz.

— To ja... ostrożnie... — odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

— Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrów, bo młody. Ale tęgo dostał...

Następnie zwrócił się do Oleńki:

— Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człeka nie bała się pokrwawić.

Tak mówiąc, wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniła się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

— Nic tu po waćpannie! Okazałaś chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza, rzekła:

— Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok i wiwato-

wać, a ona szła blada, chwiejąca się, z zaciśniętemi ustami i ogniem w oczach.

— Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! — wołały potężne głosy.

W godzinę później wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy człapali kupą bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosa pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy, patrzące z poza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

— Dziw, jak cudna! — mruczał sam do siebie — istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę, a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby ze samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłowę wyrozumie... Patrzyła na mnie, jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowej, czy z konfuzyi...

## ROZDZIAŁ VIII.

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecie to szlachta laudańska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekuzowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał po kawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; po prostu zdobył ją, jak fortecę... Czyjaż ona, jeżeli nie jego? Może-li mu czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nużby popróbować? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego z razu afektu, to tem bardziej należy mu się o to postarać.

A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

— Nie może być! — powtórzył sobie pan Wołodyjowski — gdyby go nie odpaliła, toby jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwyczajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciołmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej za mąż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacyi, bo jużby poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnemi oczyma oglądać mogła.

— A i tobie czas się ustatkować, Michałku! — mówił do siebie pan Wołodyjowski. — Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe i z wielkiej krwi idące, ale milszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

— Co tu zwłóczyć! — mówił sobie. — Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecie, co ojczyźnie winien i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a jam się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko od razu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyspieszonych zapowiedziach ślub wziąć, albo zjeść arbuza.

— Jadłem nie raz, zjem i teraz! — mruczał pan Wołodyjowski, ruszając żółtymi wąsikami. — Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłem postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie po kawalersku?

Ba! ale za cóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rokbym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!“

— Taki pojadę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała od razu nie oddam“.

Wtedy wszystko przepadnie.

Że przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt

zapalał się bywało, tak jak słoma, ale i gasł, jak słoma.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołatajże się dalej żołnierzu, tułaczu, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej blizkiej. Rozglądaj się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi kmicicowych, w niewolę wziętych, któren staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju, pane — odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

— Skąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakowąś w rozmyślaniach przerwę.

— Z daleka pane, z pod Wiahla.

— Czemużeś to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszów? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, aby mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.

— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.

— Takżeś tu sobie upodobał?

— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Na co mnie odchodzić?

— Któraż ci tak dogodziła?

— Marysia.

— I ty już ostaniesz?

— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.

— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

— Nie znaju, pane.

— Pierwiejby takiemu hołyszowi śmierć dał, niż córkę.

— U mnie czerwieńce w lesie zakopane: dwie garści.

— Z rozboju?

— Z rozboju, pane.

— Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

— Ja z bojarów putnych.

— Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakże to mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

— Ja mu i nie służył.

— A skądże was pan Kmicic brał?

— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem po co wracać, bo spalony. Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż dotąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami, pożyczonemi u nieprzyjaciela.

— To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?

— Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale taki od nich zbiegli na gościńce.

— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrzał na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.

— Także ty ją miłujesz?

— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc, pomyślał: Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał; pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli na prawdę on z putnych bojarów, toć to tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwieńce wygrzebie, może mu stary Marysię

odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawziął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał, lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.

— Pojadę, nie może być inaczej!

To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

— Syruć! — rzekł pan Wołodyjowski — a grzywa u Basiora zapleciona?

— Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodyjowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

— Jechać... nie jechać... jechać...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

— Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.

Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział buty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconemi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego pół-pancerzyk z jasnej stali, pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysi z pięknem piórem czaplem, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czółenkiem i wyszedł na ganek.

— Gdzie to wasza miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie.

— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubianinaby mnie wziąć mogła.

— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

Wtem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny, wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem w ręku. Ujrzawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.

— Król, nie król? — rzekła Zonia.

— Wasza miłość, jak na wesele! — dodała Maryśka.

— Może z tego i wesele być — zaśmiał się stary Pakosz — bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony skopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła skopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladniczków i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego, tak iż gdy z daleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem, czy z arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.

— Co wasza miłość mówi? — spytał pachołek Syruć.

— Głupiś!

Pachołek ściągnął napowrót w tył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

— Całe szczęście, że to nie pierwszyzna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmiej, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale się zręcznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie dworak, długo jednak na ró-

żnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze czcią wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

— Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosło, co powinienembym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

— Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcześ mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Michał. — Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, pozwalając mi tak godną personę sekundować.

— Nie! Jam to winna Bogu dziękować naprzód, a waszmości zaraz potem...

— Kiedy tak, to już dziękujmy oboje, bo ja o nic więcej go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ile razy będzie potrzeba.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski ruszył woskowanymi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, bo kontent był z siebie, że od razu wszedł *in medias res* i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na policzki, a oczy nakryła długiemi rzęsami, od których padały cienie na jagody.

— Dobry znak ta konfuzya — pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknąwszy, mówił dalej:

— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

— Wiem — odpowiedziała Oleńka — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książę wojewoda wileński tę chorągiew oddał i mówił, że zna waćpana z reputacyi, jako sławnego żołnierza.

— Także to o mnie mówił?

— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, nie godzien, żeby mnie wynosili nie tylko pod niebiosa, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny nie zupełnie obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włóczy, którzy się familiantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie, kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakoż Oleńka zaraz odrzekła:

— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Ossoryą pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli, który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczynił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służę, mniej dbając o substancyą, niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremiasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem i zbaraskie wytrzymywałem głody, a po Beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, żeby waćpanna wiedziała, żem nie skurczybochenek żaden, który krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej

służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczem nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

— Żeby to wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje — mówił dalej pan Wołodyjowski — choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wymknie. Wszyscy zacni ludzie go potępili i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpannę napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

— Skąd to waćpan wiesz? — spytała żywo panna, podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek, ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim dyabelska.

— I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?

— Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na największego wroga, takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatyi i wdzięczności.

— Z waćpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz po raz ruszać wąsikami z ukontentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli.

Poczem głośno do panny:

— Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica

ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał o waćpannę, przy którejby sama Wenus za dziewkę służyć mogła. Desperacya to go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakże to przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz, na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają.. Któż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochość, ale niesłusznie. I u mnie serce nie ze skały i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszyszże mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

— Waćpanna mnie nie chcesz? hę?

— Nie mogę!

— I to ostatnie słowo waćpanny?

— Ostatnie i nieodwołalne.

— A może jeno pośpiech waćpannie się nie podoba? Dajże mnie nadzieję!

Nie mogę, nie mogę...

— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzieindziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęś chociby z tym samym Kmicicem, boś może właśnie gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny; poczem zaraz siadł na koń i odjechał.

— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.

Pachołek Syruć, jadący z tyłu, przysunął się zaraz.

— Co wasza mość mówi?

— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.

— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtę stronę jechali.

Nastało milczenie; poczem pan Michał znowu mruczeć począł:

— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano. Jechałże sęk taki los!...

Co rusz, to rekuza... Niemasz sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

— Tem ci też gorzej dla mnie — pomyślał po chwili — bo jeśli ona go po tem wszystkiem jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputacyę poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomódz, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ją tak skaptował? kto zgadnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzał, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, [illegible] się to dzieje, albo jakowego inkluza dostać, możeby [illegible] dowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową nie doidziesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta, to najzdradliwsze stworzenie na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak licho... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebodze może jeszcze ciężej...

Tu pan Wołodyjowski rozczulił się nad dolą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożątko ledwie zipie od trosków, jeszczem jej oczy wykłół tym Kmicicem i do reszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom po grubijańsku postąpił. Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem, w czem będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodyjowskiego przerwał pachołek Syruć, który, przysunąwszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, toż to tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

— Gdzie?

— A ot, tam!

— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czemże ty go z tak daleka poznajesz?

— A po bułance. Dyć ją całe wojsko zna.

— Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

— Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili toż samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski poskoczył tedy żywo i otworzywszy ręce, rzekł:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Skądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem odsapnąwszy, rzekł:

— Do ciebiem umyślnie przyjechał z ekspedycyą i z pieniądzmi.

— Z ekspedycyą i z pieniądzmi? a od kogo?

— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciąg czynić i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziem w jednej okolicy zaciągali?

— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.

— Skądżeś to wiedział, gdzie mnie szukać?

— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć i ja jechałem na pewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt, jak maku w ogrodzie.

— Dlatego to i pobyt ci tam smakował!... Czekajże, mam i drugi list prywatny hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

„Znając szczerą waćpana służenia ojczyźnie intencyę, posyłam ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chcesz-li nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwo nam to, skąd waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że i pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskarbim, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydębić. Połowę z tych pieniędzy panu Kmicicowi j. m. p. oddaj, dla którego pan Charłamp także list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usłuży. Ale

że uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem, tedy najlepiej waćpan list dla niego przeznaczony od Charłampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbytnie na nim grawamina, hańbę czyniące, tedy nie oddawaj: obawiamy się bowiem, aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcye niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak, uznawszy, że tam nic wielkiego niema, list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizycyi i my go sądzić będziem, nikt inny, ale po funkcyi spełnionej. Polecenie to nasze uważaj wmość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach wmości pokładamy.

*Janusz Radziwiłł,*

Książę na Birżach i Dubinkach, Wojewoda Wileński.

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

— Pewnie, że o konie będzie trudno — odpowiedział pan Wołodyjowski. — Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jeno mierzyny żmudzkie mają, nie bardzo do służby zdatne. Na dobrą sprawę trzebaby im wszystkim dać inne.

— To dobre konie, znam ja je z dawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodyjowski — ale urody małej, a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi. Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do pana Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?

— Bo tu tatarską modą sobie poczynał i panny

w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Niemasz tygodnia, jak się z nim w szable biłem.

— E! — rzekł Charłamp — jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrów będzie. Co tam słychać *de publicis?*

— Źle, po staremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księciem w emulacyi, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęśmy się poprawili i tak myślę, że byle zgody, to sobie z nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się z dawna z panem podskarbim powąchali.

— Wojewoda witebski zacny obywatel.

— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwiłłom stoisz?

— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na nic! — rzekł Charłamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kłuje. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzieindziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainie.

— Bo ja wiem! Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo ze sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł ułowić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, sły-

szał, jak hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna“. Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

— Pewnie się przesłyszał! Z kimżeby nowa wojna! Cesarz lepiej nam teraz życzy, niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czegoby bez woli Turczyna nie czynili.

— Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było. Ale ja chwalę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieść?

— Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyślę się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza; potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż, obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?

— Tak jest.

— To mi dziwno. Żadnych nowych wiktoryj nieprzyjaciel nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawią na nogi, więc będzie komu bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno — odpowiedział Charłamp — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcyę, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz

księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być? Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosiło. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko książę Bogusław do roboty wchodzi, to dyabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To mężny pan!

— Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca, czyli jakowego Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom Radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. On to i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim, jego to sadzenia drzewa i frukta.

— Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinieneś się, Michałku, co prędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrzał przeciągle na towarzysza.

— Ożenić?... Hę?

— Juści! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.

— Dałbyś spokój!

— Ej, przyznaj się...

— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

— A będziesz na lipiec gotowy?

— Na koniec lipca będę, choćbym miał konie z pod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, inaczej byłaby mnie melankolia zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzyi, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać, czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził,

wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było, że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako i afekt nie ostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.

## ROZDZIAŁ IX.

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencyę do Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyśleć. Kręcił się pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrów będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabli, wiszącej nad jego łożem, sięgnął, ale ochłonąwszy, widząc uśmiech

na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszmości za odwiedziny. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.

— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie, żem się wylizał.

— A jakże zdrowie waszmościne?

— Waćpanu dziw pewno, żem z pod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:

— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!

— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem...

— Chybaś waszmość dyabeł — przerwał Kmicic — albo masz inkluza. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeślim nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cięcia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzieś się tak wyuczył?

— Miało się trochę przyrodzonych zdolności — odrzekł pan Michał — i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg nikczemną postać, jeżeli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli“. Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

— Aza mogli być tacy.

— Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta, Litwin, wielki familiant, który w Zbarażu poległ. Panie świeć nad jego duszą! człek tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika.

Potem był jeszcze i Skrzetuski, przyjaciel mój serdeczny i koufident, o którym waść musiałeś słyszeć.

— Jakże! On to ze Zbaraża wyszedł i przez Kozaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To waść z takiej sfory? i zbaraszczyk?... Czołem! Czołem! Czekajże!... przecie ja i o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi i tyle już nad piekielnemi chorągwiami odniósł wiktoryi, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michałem. Toć to waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usiekł?

— Jam jest.

— No, od takiego nie żal po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciółmi mogli zostać. Waćpan to mnie wprawdzie zdrajcą okrzyknąłeś, aleś się w tem pomylił.

To rzekłszy, pan Kmicic ściągnął brwi, jakby go rana na nowo zabolała.

— Przyznaję, żem się pomylił — odrzekł pan Wołodyjowski — ale nie od waćpana o tem dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! — mówił z goryczą Kmicic. — Niech będzie, co chce. Niejedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszkodziłeś tem spaleniem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sądzi, jeślim to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spaleniem ślub sobie zrobiłem żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie,

bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do dom i cóż zastaję? Oto moich kompanionów porzniętych, jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy dyabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porznięto?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: o to za to, że potańcować w karczmie ze szlachciankami chcieli... Ktoby się nie mścił?

— Mój mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — prawda, że za ostro postąpiono z waćpana kompanami, ale czy to ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacya, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnieby ich za to nie sieczono.

— Niebożęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili temi oto drzwiami, z tamtej oto izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędruś! daj na mszę za nasze dusze, bo męki cierpimy!“ To, mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już dałem, oby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu — mówił dalej Kmicic — waćpanu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocaliła mi wprawdzie życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

— Zawsze to tatarski był sposób.

— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacyi człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

— Ja nie wiem, co jest afekt? — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu, jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subiectum zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wy-

płacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nademnie Troila.

— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia — rzekł Kmicic.

— Tedy waści powiem co innego, na co własnemi oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu Chmielnicczyzny, Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między Kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperacyę, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on zgadnij waść co uczynił?

— Skąd mam wiedzieć!

— Otó, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki tryumfował, więc on wcale nie poszedł dziewki szukać. Boleść Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóżże waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicic milczał i gryzł wąsy, a Wołodyjowski mówił dalej:

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś tem samem nieprzyjacielowi i małoś żywota nie utracił, nie mówiąc o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem? — rzekł, siadając na łóżku Kmicic — co się z nią działo?

— Nic się nie działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicic pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i krzyknął.

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicic. — Jakto?...

— Tak jest.

— Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastała chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:

— Czemu to mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat, albo swat? Zalim ci wiarę złamał? Zwyciężyłem cię w boju i mogłem czynić, co mi się podobało.

— Po staremu jedenby z nas to krwią zapieczętował. Nie szablą, to z rusznicy bym waćpana ustrzelił i niechby mnie dyabli potem wzięli.

— Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby mnie nie była odpaliła, tobym i pojedynku drugiego nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz, czemu mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmicic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły. Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystąpił mu pot obfity i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi słabo — rzekł po chwili. — Skądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miarkuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi się w głowie rozjaśniło. Naprzód tedy, gdym po pojedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom waćpana usiekł, wnet ją zamroczyło i zamiast wdzięczność mi okazać, całkiem mnie spostponowała; powtóre: gdy cię tu Domaszewicze dźwigali, to ci głowę, jak matka, unosiła, a po trzecie, że gdym się jej oświadczył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał. Jeśli te racye waćpanu nie

wystarczają, to chyba dlatego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwankujesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym głosem Kmicic — tedy mi tu różne maści na rany przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od słów waszmości.

— Zdrajcaże ci to taki balsam przykłada?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

— Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To wcale co innego.

— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Inaczej być nie może.

— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencyę zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wsławić, reputacyę połatać. Któż to jest bez grzechu? Kto niema win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

— Waćpan mówisz, jak mój szczery przyjaciel.

— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnem. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyzna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

— Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym stąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.

— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?

— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycyi należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

— Owóż, jak waćpan widzisz, odemnie zależy, albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.

— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę spuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznani w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

— Niechże mnie końmi rozerwą! — rzekł wreszcie — niech mnie ze skóry obłuszczą, jeślim ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśliś przezemnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miłuje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pogrążył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty, ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

— Przykład, przykład z waćpana innym brać! — odrzekł Kmicic. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żadnych sądów stawać,

jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputacyę odzyskać i w sławie, jak w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmicic — co ja tu będę w łożu gnił, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? sam tu! pachołek, buty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy, począł żegnać się, a Kmicic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowo nagrodzę — mówił sam do siebie — gdy jej powiem, że Kmicic nie tylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:

— Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmyślań dojechał do Wodoktów. Kudłaty Żmudzin wyszedł do kołowrotu, ale nie spieszył się otwierać, jeno rzekł:

— Dziedziczki niemasz w domu.

— To wyjechała?

— A wyjechała.

— Gdzie?

— Kto ją wie!

— A kiedy wróci?

— Kto ją wie!

— Gadajże po ludzku. Nie mówiła, kiedy wróci?

— Bodaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i tobołami. Z tego miarkujem, że daleko i na długo.

— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...

## ROZDZIAŁ X.

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po dzikie pola na południe, była opasana, jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły pogasić pożaru, owszem wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przelatujących niebiosa, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawalały się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznanej choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwyczajne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadano nowe wojny i nagle, Bóg wie skąd, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliża się nawalnica. Na pozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecyą zawarty, miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na

sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierwiej mogła się zwalić. Leszczyński, wojewoda łęczycki i Naruszewicz, pisarz polny litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecyi; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

„Legacya ta wojną pachnie“ — pisał Janusz Radziwiłł.

„Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony, pocóżby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazyl; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów“.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

„Żadnej — twierdzili Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżeby to podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napadnięto po zbójecku bezpiecznego sąsiada? Szwecya przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzcianną! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeciwnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi, tak wielkiej sławy wojennej w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita; ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć. Nie będzie wojny!“

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czegoby przecie nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było blizkie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: „Wojna!“ rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Była to nie tylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki, wspomagany przez Buturlina srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz oblężony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Radziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. On to prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów, pragnących tryumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd nie poterana kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano i zanim szlachta ruszyła własnemi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty, pod wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, wałeckich. Nad kaliskimi chłopy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski,

z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbaraszczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Z pod Pyzdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; z pod Kcyni pan Piotr Skoraczewski, a pan Koślecki z pod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu, którego głosu nawet sam generał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wieluniem zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski i stanął w domu burmistrza z licznym pocztem sług, przybranych w białe i błękitne barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szańczyków nad rzeką.

— A gdzie to moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

— Jacy ludzie? — rzekł pan Skrzetuski.

— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czarniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za źle umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakże to? — odparł zafrasowany wojewoda — niemasz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej.. A potem żniwa blizkie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi waćpan prawisz?

— A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostanę.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć — rzekł — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą, nie będzie go, bo nie tylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.

— Powaryowali! — rzekł pan Grudziński.

— Nie, jeno tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.

— Czekaj waść! — rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, piór i papieru — następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny, zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej *pro die 27 praesentis* stawili i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą *non decesse patriae*. A teraz powiedz mi waćpan: macie-li jakie wieści o nieprzyjacielu.

— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na łęgach musztruje.

— Siła ich?

— Jedni mówią, że siedemnaście tysięcy, drudzy, że więcej.

— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?

— Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić...

— Stawi się, co się niema stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą damy sobie radę?

— Nie damy — rzekł sucho Skrzetuski. — Jaśnie wielmożny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

— Jakto nie mamy żołnierzy?

— Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojsko, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

— Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

— Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę widział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskom, jeszcze takim, jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwycięstw przywykłym.

— Także to waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

— Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbarażem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał, ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrzał bystro wprost w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

— Tedy poco my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i rzekł:

— Jeśli mi taka w głowie myśl powstała, każże mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktoryę, odpowiadam, jak żołnierz: nie wierzę! — ale pocośmy tu przyszli, to inna materya, na którą, jako obywatel odpowiadam: poto, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzyć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszemi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniemi

— Chwalebna to intencya waszmości — odpowiedział chłodno wojewoda — ale łatwiej wam żołnierzom o śmierci mówić, niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Po to i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy poledz, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak, jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania popróbować, bo czasem więcej słowem można wskórać, niźli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza.

Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty, na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod d. 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygód wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopii, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych

okolic, które od czasów krzyżackich zapomniały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze, jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów zmienili, kochających się w dostatkach, we wczasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną i zwłaszcza swojem zbożem, rynki miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można się za nadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrzyć, ani za wielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwni to byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie nie łatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał na przykład towarzysz z kopią na dziewiętnaście stóp długą i pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu „dla chłodu“ na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie poczytywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urażała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły“, ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów, koni zapaśnych i pociągowych, bydła przeznaczonego na spiżę, a zwłaszcza sług, pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemu to wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arwid Wittemberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedmnaście tysięcy weteranów w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, roz-

praw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków, na poczekaniu w piechotę zamienionych i z jegomościów prosto od strzyży owiec oderwanych; z drugiej maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciągające się z regularnością machin w linie i półkola; zwierające się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, prawdziwi ludzie wojny, zimni, spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzowstwa doszli w rzemiośle. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyją stronę musi paść zwycięstwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej, a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdżać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincyi, z pocztami przybocznych wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte z czerwonem barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlachty, otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów w takież barwy, jak i hajduki przybranych; sam wojewoda jechał w karecie, mając przy sobie błazna, Stacha Ostrożkę, którego obowiązkiem było posępnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza dodał wszystkim serca i otuchy; tym bowiem, którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspaniałą, w której, z pod wysokiego, jak sklepienie czoła, świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom, przywykłym do czci dla urzędu i osoby, wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli wznieść świętokradzkiej ręki na takiego magnata. Owszem, ci, którym trwożliwe serce biło w piersiach, uczuli się zaraz bezpieczniejsi pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak po-

suwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem Jakóbem Rozdrażewskim, wojewodą inowrocławskim. Ci przywieźli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał; jako pan Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski; Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, i Paweł Gębicki, pan Międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptactwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, błękitne, białe, na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którem co szlachcic, to inny strój nosił — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy, nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle miasteczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe, od szat, do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni — w innych sprzedawano trunki. Przed szopami roiła się szlachta, zbrojna nie tylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany

w odzież zeszytą w pstrych gałganków z berłem zdobnem dzwonkami i miną z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad któremi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szczędzono w nich nikogo.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

...NDING LIST MAR 15 -

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.61
486119

DATE

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED